

# Dekameron, Dzień czwarty



GIOVANNI BOCCACCIO

DEKAMERON

## Dzień czwarty

TEUM. EDWARD BOYÉ

— Miłe damy! Wszystko, co słyszałem od ludzi mądrych, co w księgach czytałem lub widziałem na świecie, kazało mi wierzyć, że burzliwy wicher zawiści na wysokie tylko wieże i na wyniosłe wierzchołki drzew uderza. Teraz widzę jednak, że mniemanie moje omylnie było. Próżno ukryć się starałem przed tymi burzliwymi podmuchami, daremnie wybierałem drogi przez równiny wiodące i chowałem się w głębokie doliny. Rzuca się to w oczy każdemu, kto spojrzy na te proste opowieści. Pisałem je w codziennym narzeczu florenckim, prozą, nie dając im tytułu; co więcej, wyrażałem myśli moje jak najbardziej prostym i niewyszukanym stylem. Mimo to jednak nie unikałem wściekłości rozpętanego wichru. Uderzył we mnie, wstrząsnął mną całym; jadowite zęby zawiści poraniły mnie okrutnie, mimo to przecie nie ostawiłem rozpoczętego dzieła. Bo teraz dopiero eksperiencja<sup>1</sup> odkryła mi istotę prawdy wszystkim mędrcom wiadomą, a mianowicie, że tylko mierność od zawiści na tym świecie jest bezpieczna.

Zali uwierzycie, miłe damy, że wielu ludzi, czytając te opowieści, za złe mi to poczytuje, że w was zbytne upodobanie znajduję, i twierdzi, że przyjemność, z jaką was chcę rozweselić i pocieszyć, a jak dodają nawet niektórzy: wychwalić — czci mi nie przyczynia. Niektórzy, usiłując wydać sąd bardziej dojrzały, ganią mnie za to, że myślę o sprawach niestosownych do powagi wieku mego, że zbyt wiele o miłości rozprawiam i nie lituję<sup>2</sup> starań, aby się wam podobać, są i tacy, co wielką troskliwość o moją sławę po sobie pokazując, radzą mi, abym, nie tracąc czasu na próżne z wami gawędy, na Parnas ku muzom się podniósł. Ludzie mniej poważni, a bardziej złośliwi, powiadają, że winienem się raczej starać o środki do życia, a nie za wiatrem uganiać i puste fraszki składać. Inni, pragnąc w oczach waszych wałor opowieści moich obniżyć, twierdzą, że opisuję zdarzenia całkiem inaczej, niż one wyglądały.

Widzicie zatem, miłe damy, że podczas gdy trudzę się dla was, zagraża mi rozpętanym orkanem zawiści i że jadowite kęsażą mnie zęby; udręczony jestem i tknięty do żywa, wszelakoż wszystkie te prześladowania, Bóg świadkiem, z pogodną myślą znoszę. I chociaż obrona moja w tych sprawach do was jedynie należy, to przecież nie myślę sił swoich szczerzyć, ale nie odpowiadając tak, jak by należało, lekką dam napastnikom odprawę, by uszy swe od nich oswobodzić, i to bez zwłoki.

Nie dokonałem jeszcze i trzeciej części mego trudu, a już tylu zuchwałych nieprzyjaciół liczę, że jeśli stosownych miar nie przyjmę, to nim dzieło do końca doprowadzone zostanie, oni tak w liczbę urosną, iż małym wysiłkiem broń mi z ręki wytrąca, a wówczas i wasza siła, w sukurs mi idąca, choćby znamienita, nie zda się na nic. Pozwólcie tedy<sup>3</sup>, abym nim wrogom moim odpowiem, na swoje usprawiedliwienie pewną nowelę wam opowiedział. Nie dowiodę jej do kresu, nie chcę bowiem, aby ktokolwiek pomyślał, że szukam pozoru, chcąc nowelę własną przemycić między opowieści tej zacnej kompanii, którą wam tu przedstawiłem. Opowiem więc tylko jej cząstkę, by same jej braki unaocznily, że nie należy do tamtych.

Obracam się tedy do wrogów moich!

<sup>1</sup>eksperiencja (daw.) — doświadczenie. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>litować (daw.) — tu: żałować, skąpić. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

„W mieście naszym<sup>4</sup> za dawnych dobrych czasów żył pewien mieszczanin, Filipem Balducci zwany. Z niewysokiego idąc rodu, był on człkiem zamożnym, doświadczonym i obrotnym wielce. Balducci miał żonę, gorąco przez się miłowaną, która mu równym afektem odpłacała. Małżonkowie żyli w przykładowej zgodzie; główną ich troską było, aby życie sobie nawzajem umilić. Aliści z żoną Balducciego zdarzyło się to, co się każdemu z nas zdarzyć może — zesła z tego świata, ostawiwszy mężowi jedyne syna, który za ledwie dwa lata liczył. Filip rozpaczal okrutnie; nigdy człek, co miłowaną istotę utracił, nie bolał nad tym tak strasznie jak Balducci. Pełen ciężkiej melankolii po stracie najdroższej towarzyszkii, postanowił świat porzucić i wraz z synem bożej służbie się poświęcić. Rozdawszy zatem wszystko, co posiadał, udał się niezwłocznie pospołu z dzieciątkiem na górę Asinaro i zamieszkał tam w małej celi.

Ojciec i syn żyli z jałmużny, pościli i po całych dniach modlili się; Filip nie mówił nigdy z chłopcem o sprawach błahych, oddalał odeń wszystko doczesne, aby młoda istota nie zesła z drogi ku niebu wiodącej. Rozprawiali tylko o szczęśliwości przyszłego żywota, o Bogu i o świętych i na modlitwach dni całe trawili. Minęło wiele lat. Syn Filipa nigdy nie wychodził z celi i krom<sup>5</sup> swego rodzica nie widział innego człowieka. Od czasu do czasu Filip wyruszał w drogę do Florencji, aby u świątobliwych ludzi jałmużny prosić. Wracał do swej celi, opatrzonej w żywność. Wreszcie Filip zestarzał się; syn jego ukończył osiemnasty rok życia. Pewnego razu młodzian zapytał go, dokąd tak często się udaje. Filip wyznał prawdę.

— Ojczy — rzekł wówczas syn — zestarzeliscie się już i ciężko jest wam trudy i pracę znosić. Czemu nie weźmiecie mnie z sobą do Florencji i nie zapoznacie mnie z waszymi przyjaciółmi, którzy są ludźmi świątobliwymi? Jestem młody i trudu się nie boję. W przyszłości, gdy zajdzie potrzeba, mnie do Florencji posyłać będziecie, a sami tu ostatnie.

Starzec rozważył, że syn jego jest już żralym<sup>6</sup> młodzieńcem, który do pobożnego żywota tak nawykł, iż pokusy świata do niego przystępu znaleźć nie będą mogły, przyznał mu zatem w myśli słusność i do miasta go z sobą zabrał. Młodzieniec patrzył z osłupieniem na domy, kościoły, pałace, na wszystkie piękności, w które Florencja obfituje, a ponieważ, o ile pomniał, nigdy w swym życiu niczego podobnego nie widział, wpadł w zachwyt i zapytywał nieustannie rodzica, jak to czy owo się nazywa. Ojciec szczegółowo mu odpowiadał, a on, zadowolony, poznawszy jedno, pytał o drugie.

Gdy taką rozmową się bawiąc szli przez miasto, spotkali naraz całą gromadę urodziny, strojnie ubranych, młodych białogłów, z wesela wracających. Ujrzawszy je, młodzian zapytał ojca, co to są za istoty?

— Nie patrz na nie, synu, spuść oczy — odparł starzec — są to twory szatańskie.

— A jak się zowią? — znów syn zapytał.

Ojciec, obawiając się, aby w synu niepożądane żądze się nie obudziły, nie nazwał ich kobietami, jeno<sup>7</sup> rzekł:

— Są to gęsi!

Owóż stała się rzecz zadziwiająca! Młodzian, który do tych pór nigdy w życiu białogłowy nie widział, zapomniał w tej chwili o wszystkim, czym niedawno tak się zachwycił: a więc o pałacach, kościołach, koniach, osłach i pieniądzech, o wszystkim, co oglądał, i rzekł:

— Dajcie mi, ojczy, jedną taką gąskę!

— Milcz, na Boga! — odparł rodzic. — Przecie ci już powiedziałem, że są to twory szatańskie.

— Zali<sup>8</sup> to, co od złego pochodzi, taki ma wygląd? — zapytał syn.

— Tak — odrzekł ojciec.

A syn na to:

— Nie rozumiem, co powiadacie, i dlaczego miałyby to być twory szatana. Jeszcze nigdy czegoś równie pięknego i czarującego nie widziałem; za nic przy tych istotach ma-

<sup>4</sup>miasto nasze — Florencja. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>żraly (daw.) — dojrzały. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>zali (daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]

lowane anioły, któreście mi nieraz pokazywali. Ach, ojczy, jeśli mnie miłujecie, zabierzmy z sobą jedną taką gąskę, a ja już ją karmić będę.

— Nie zgadzam się! — zawołał rodzic. — Tym bardziej że nie wiesz, w jaki sposób się je karmi.

W tej chwili Filip zrozumiał, że przyrodzenie<sup>9</sup> silniejsze jest od ludzkiego umysłu, i dlatego też żałować począł, że wziął z sobą syna do Florencji”.

Tutaj powieść swoją ucinam i obracam się do tych, z myślą o których ją rozpocząłem. Niektórzy z mych wrogów powiadają, że źle postępuję, starając się zbytnio wam, młode damy, przypodobać, a także zachwycać się wami. Szczerze wyznać muszę, że w samej rzeczy bardzo mi do gustu przypadacie i że staram się być wam miłym, aliści<sup>10</sup> niech mi się zapytać będzie wolno, zali są w stanie mi się dziwować i mnie naganiać ludzie, znający nie tylko wasze gorące pocałunki i uściski ramion waszych, ale spoglądający ciągle na waszą nieporównaną urodę i piękność pełną wdzięku, co więcej, na wasze układne obyczaje i białogłowską cnotę? Młodzieniec, wzrosły na dzikiej, samotnej górze, pośród czterech ścian swej małej celi, pierwszy raz na was spojrzawszy, obrócił ku wam wszystkie chęci swoje i tylko w marzenia o was się pogrążył. Zali przyganiacze moi odważą się strofować mnie i napastować za skłonność ku wam, mnie, obdarzonego przez niebiosą zdatnością do miłości, mnie, który wam w młodych jeszcze latach całą duszę oddał, mnie, com doświadczył czaru spojrzeń waszych, słodczy czułych waszych słów i poznał żar, który w sercu się zapala od lubych westchnień waszych? Któż, pytam, zechce ganić mnie za to, że miłe mi jesteście i ja pragnę wam być miły, skoro nawet młody pustelnik, do dzikiego zwierzęcia podobien, spojrzawszy na was, zapomniał o wszystkim, co go dotychczas w zachwyty wprawiało? Zaiste, chyba tylko ten, kto was nie kocha i przez was nie pragnie być kochany, kto rozkoszy i potęgi uczuć nie jest świadom, szydzić ze mnie może, aliści o sąd takiego człeka dbam mało lub nic wcale.

Ludzie zasię<sup>11</sup>, wiek mój mi wymawiający, nie słyszeli zapewne, że czosnek ma białą głowę, ale ogon zielony. Ostawiając żarty na stronie, powiem im, że bez nijakiego wstydu do końca życia mego starać się będę sprawiać przyjemność tym, którym przypodobanie się za zaszczyt i miły obowiązek poczytywali sobie w starości Guido Cavalcanti<sup>12</sup> i Imc Dante Alighieri<sup>13</sup>, a także Imc Cino da Pistoia<sup>14</sup>, co do lat sędziwych doszedł. Mógłbym przywieść wiele przykładów na dowód, że w starożytności siła<sup>15</sup> mężów znamienitych przy schyłku swego żywota białogłowom najgorliwiej służyło, aliści od materii mej opowieści oddalać się zbytnio nie myślę. Jeśli moi wrogowie o podobnych rzeczach nie słyszeli, niechaj sami stosownego poszukają pouczenia.

Radzą mi, abym na Parnas się wznosił i tam z muzami obcował. Muszę wyznać, że widok Parnasu piękny jest dla mnie; jednakże nie możemy ustawnie z boginiami przebywać, a także i muzy nie są w stanie wiecznie przy nas pozostawać. Gdy człowiek, opuściwszy towarzystwo muz, szuka istot najbardziej do nich podobnych, nie lza<sup>16</sup> go za to ganić. Muzy są kobietami, a chociaż kobiety doskonałości muz nie mają, przecie wielce są do nich podobne; gdyby więc nawet białogłowy same przez się podobać mi się nie mogły, owo podobieństwo miłować by mi je kazało. Powiem także, że nie napisałem jednego słowa na pochwałę muz, gdy tymczasem kobiety pobudziły mnie do tysięcy wierszy. Prawda, że muzy nauczyły mnie te wiersze składać i w pisaniu mi pomagały; możliwą także jest

Kobieta, Poeta, Sztuka,  
Literat

<sup>9</sup>przyrodzenie (daw.) — tu: natura. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>Guido Cavalcanti (1255–1300) — filozof, poeta i trubadur włoski pochodzący z Florencji, przyjaciel Dantego Alighieri, twórca ballad, sonetów i pieśni (canzon) sławiących miłość idealną (tematyka charakterystyczna dla nurtu *dolce stil nuovo*), a także wyrażające tęsknotę za ojczyzną, odkąd z powodu uwikłań politycznych został zmuszony do opuszczenia miasta; występuje jako jedna z postaci *Dekameronu* (VI, 9). [przypis edytorski]

<sup>13</sup>Dante Alighieri (1265–1321) — poeta, filozof i polityk włoski, autor poematu *Boska Komedia*, napisanego po włosku, w dialekcie tokańskim, uważanego za szczytowe osiągnięcie literatury średniowiecznej; skazany na banicję z powodu uwikłania w walki polityczne we Florencji, w której stronnictwo gwelfów (zwolenników władzy papieskiej bądź współpracy z Państwem Kościelnym) podzieliło się na czarnych, radykalnie antycesarskich i białych gwelfów, do których zaliczał się Dante; zmarł w Rawennie. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>Cino da Pistoia (1270–1336 a. 1337) — pisarz i prawnik włoski, przyjaciel Guido Cavalcantiego i Dantego Alighieri, z którymi korespondował; jako poeta zaliczany do nurtu *dolce stil nuovo*. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>siła (daw.) — dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>nie lza (daw.) — nie można. [przypis edytorski]

rzeczą, iż gdy układałem i te moje proste opowieści, były one niekiedy przy mnie, dzięki temu podobieństwu do kobiet i życzliwości, którą jako kobiety do mnie żywią. Dlatego też, gdym księgę tę składał, nie tak wielce od Parnasu i od muz oddalony byłem, jak to mniemają niektórzy.

Cóż jednak odpowiem tym, co z niezmiernej troski o to, bym nie zaznał głodu, radzą mi, abym zdobywał chleb? Zaiste, nie wiem tego! Wiem jeno<sup>17</sup>, jaki by mi respons<sup>18</sup> dali, gdybym ich o kawałek chleba poprosił: „Idź poszukać go w bajkach”. A jednak mnóstwo wielkich poetów w swoich baśniach i opowieściach większe bogactwo znalazło niż ludzie możni w swych skarbach. I niemało było takich, co idąc za tymi baśniami, do rozkwitu wiek swój przywiedli, podczas gdy chciwość zgubiła wielu pragnących zdobyć więcej chleba, niżli im trzeba było. Cóż rzec jeszcze? Że moi wrogowie, radzący mi, abym o wyżywienie siebie się starał, wygnaliby mnie, ani chybi, gdybym o pomoc do nich się zwrócił. Bogu dzięki, wcale mi jej nie potrzeba, gdybym nawet w straszną biedę popadł, to za przykładem apostoła idąc, będę ją umiał z godnością znosić. Niechże więc ludzie nie troskają się o mnie więcej, niż ja sam o siebie się troskam.

Tych zasię, co powiadają, że przedstawiam zdarzenia niezgodnie z prawdą, gorąco proszę, aby mi pierwowzory przynieśli. Jeśli w samej rzeczy się okaże, że pierwowzory te od moich nowel się różnią, pierwszy rację twierdzeniu ich przyznam i z wszystkich sił starać się będę błędy moje naprawić. Dopóki jednak wrogowie moi na niczym słów swoich nie ugruntują, pozwolę im myśleć, co chcą, a sam dam tylko wyraz mniemaniu, że to nie ja, lecz oni z prawdą się mijają.

Zdawa mi się, że już nic więcej mówić nie trza. Krzepię się nadzieją, że z pomocą Boga i waszą, miłe moje czytelniczki, uda mi się uzbroić w cierpliwość i iść dalej moją drogą, obróciwszy się plecami do burzliwego wiatru, który niechaj z wszystkich sił dmucha. Wiem, że nic gorszego ze mną stać się nie może, jak z prochem, którego wiatr albo z ziemi nie poderwie, albo gdy go uniesie, porywa go w górę i często miejsce mu daje ponad głowami ludzi, nad koronami królów i cesarzy, niekiedy nad dachami zamków i wież wysokich. A jeśli z wysokości pył spada, to tylko na ziemię, od której oderwany został, a nie niżej. Służyłem wam z wszystkich sił moich, teraz zasię<sup>19</sup> w dwójnasób służyć wam będę. Ludzie rozumni pojmują, że ja, jako i wszyscy, co was miłują, według praw przyrodzonych postępuję. Trudno z naturą walczyć i ten tylko mógłby ją przemóc, co by nadprzyrodzone siły posiadał. Ci, którzy tej walki próbowali, wiele szkód ponieść musieli, a przecie wysiłki ich płonne się okazały. Wyznaję szczerze, że nie mam sił na walkę z przyrodzeniem i że nawet wcale ich mieć nie chcę. Gdybym nawet siły te posiadał, wolałbym raczej innemu ich użyzyć aniżeli je na mój własny użytek obrócić. Niechże zatem milczą moi przyganiacze, a jeśli ich serca już żarem nie tchną, niech, jak lód, w spokoju swoim tężeją. Ja im tej przewrotnej rozkoszy zazdrościć nie będę, byleby tylko nie przeszkadzała mi tak resztę krótkich moich dni spędzać, jak to za najlepsze uważam.

Jednakowoż zbyt daleko od właściwego odbiegliśmy wątku, trzeba tedy<sup>20</sup>, piękne panie, powrócić, skąd wyszliśmy, i ustalonego na wstępie porządku przestrzegać.

Słońce spędziło gwiazdy z nieba, a z ziemi wilgotne cienie nocy. Filostrato podniósł się z łoża i innych obudzić kazał. Wszyscy wyszli do ogrodu i tam poczęli oddawać się zabawie. Gdy nadeszła pora obiadu, towarzystwo udało się w to miejsce, gdzie wieczerało wczora. Po obiedzie, odetchnąwszy nieco, Filostrato i jego goście przyjętym już obyczajem zasiedli w chłodzie obok wspaniałej fontanny. Słońce wysoko na niebie stało. Filostrato rozkazał Fiammetcie, aby opowiadać zaczęła. Ta nie zwlekając z wielkim wdziękiem mówiła<sup>21</sup>:

## OPOWIEŚĆ PIERWSZA. GHISMONDA I GUISCARDO

<sup>17</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>respons (z łac., daw.) — odpowiedź. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>jęć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

*Tankred, księżę Salerna, zabija kochankę swojej córki i posyła jej serce zamordowanego w kubku złotym. Córka wlewa do kubka truciznę, wypija i umiera.*

— Smutno pomyśleć, że nam, zebranych tutaj dla rozrywki, król polecił dziś opowiadać o łzach innych ludzi i o męczarniach, na myśl o których serce opowiadającego i dusze słuchaczy drgną z bólu muszą. Jest rzeczą możliwą, że podobne zlecenie wydał, aby postawić tamy wesołości, jaką cieszyliśmy się w dni poprzednie. Jakkolwiek by się jednak miało, mnie nie lza<sup>22</sup> woli jego zmieniać. Opowiem wam tedy smutną historię, która ze wszech miar współczucia waszego jest godna.

„Tankred, księżę Salerna, zasłużyłby sobie w pełni na sławę ludzkiego i dobrotliwego człowieka, gdyby w starości nie zbroczył rąk swoich krwią dwojga kochanków. Miał tylko jedną córkę, aliści<sup>23</sup> lepiej by dlań było, gdyby i ta na świat nie była przyszła. Nigdy zapewne żaden rodzic tkliwiej swego dziecka nie miłował; chociaż księżniczka dawno już do lat żrałych<sup>24</sup> doszła, rodzic nie mógł się z nią rozstać i dlatego też za męża jej nie wydawał. Wreszcie dał ją w stadło synowi księcia Kapui, który wkrótce po ślubie umarł. Młoda wdowa powróciła do ojca. Księżniczka była wielce urodziwa z oblicza i postaci; usposobienie miała wesołe, a rozum większy, niżli się tego u białogłowy spodziewać można było. Tankred, miłujący córkę swoją tkliwym uczuciem, nie pomyślał nawet o tym, żeby jej dać drugiego małżonka. Młoda wdowa u boku czulego ojca wiodła pełen uciech żywot wielkiej damy, a uważając, że rzeczą nieprzystojną byłoby męża się domagać, postanowiła związać się więzami tajnej miłości z godnym jej ufności człowiekiem. Dlatego też jeła się bacznie przyglądać wielu ludziom szlacheckiego i innego stanu, gromadzącym się na dworze jej ojca, jak to podobni młodzieńcy na dworach różnych królów i książąt gromadzić się zwykli. Najbardziej przypadł jej do serca młodzieniec imieniem Guiscardo, na służbie u jej rodzica pozostający. Ów, będąc niskiego bardzo pochodzenia, zaletami ducha i szlachetnymi obyczajami oczarował księżniczkę więcej niż ktokolwiek z dworzan. Widując go często, w tajemnicy pokochała go mocno, coraz bardziej unosząc się nad postępowaniem jego. Guiscardo, któremu nie brak było przenikliwości, wkrótce skłonność białogłowy pomiarkował i zapłonął ku niej równym afektem, tak że wszystko inne odsunął z swej myśli. Przeszedł czas niejaki; Guiscardo i księżniczka miłowali się w głębokiej tajności, bowiem białogłowa, aczkolwiek gorąco pragnęła znaleźć się z swym ukochanym na osobności, przecie nikomu z tym się nie zdradzała. Wreszcie obmyśliła pewien chytry środek, dzięki któremu Guiscardo miał zostać uwiadomiony, gdzie i kiedy na osobności z nią zobaczyć się będzie mógł. Księżniczka napisała do niego list, w którym wyjaśniła mu, co czynić należy, aby się z nią nazajutrz zobaczyć, a później ukryła pismo w wydrążonej trzcinie. Z żartobliwym uśmiechem wręczyła mu ją potem, mówiąc:

— Daj tę trzcinę dzisiaj wieczorem swojej służce, aby w nią dmąc, w kominie ogień roznieciła.

Młodzieniec wziął trzcinę wiedząc, że nie bez kozery księżniczka mu ją daje. Wróciwszy do domu, odkrył wnet wydrążenie, w którym list księżniczki znalazł. Przeczytał pismo i pojąwszy, co mu czynić należy, poczuł się najszczęśliwszym na ziemi człowiekiem i postanowił działać zgodnie z pouczeniem księżniczki.

Obok zamku znajdowała się pieczara, wykuta, ongiś w skale. Słabe światło dochodziło do niej przez otwór w górze. O pieczarze już wszyscy zapomnieli; szczelina, którą światło dnia przenikało, zarosła głogami i trawą. Tajne schody łączyły loch podziemny z jedną z dolnych komnat, w której właśnie księżniczka sypiała, a drzwi nader mocne strzegły do niej dostępu. Schodów tych od dawna już nie używano, tak iż wszystkim wypadły one z pamięci. Jednakoż oczom miłości nic się ukryć nie może. Księżniczka wkrótce przypomniała sobie utajone drzwi. Ponieważ dobrze zaparte<sup>25</sup> były, a nie chciała, by zauważono, co zamyśla, daremnie przez kilka dni otworzyć próbowała. Wreszcie udało się jej. Spuściła się do jaskini, spostrzegła tam otwór na świat. Upewniwszy się, że Guiscardo przez szczelinę precyzyjnie się będzie mógł, napisała do niego list, oznaczając mu w nim głębokość lochu. Guiscardo, odebrawszy pismo, opatrzył się w sznurową drabinkę, która miała

<sup>22</sup>nie lza (daw.) — nie wolno, nie można. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>żrały (daw.) — dojrzały. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>zaparty (daw.) — zamknięty. [przypis edytorski]

mu dopomóc do spuszczenia się w głąb jaskini, i w skórzaną odzież, chroniącą przed kolcami i cierniami. Następnego dnia udał się na oznaczone miejsce i przytwierdziwszy drabinę do pnia jednego z drzew rosnących obok szczeliny, spuścił się do jaskini i tam na przybycie księżniczki ją oczekiwać. Nazajutrz córka Tankreda odprawiła swoje pokojowe pod pokrywką, że ją sen morzy. Ostawiwszy sama, zaparła komnatę, otworzyła tajne drzwi i do jaskini się udała. Guiscardo z najwyższą radością swoją umiłowaną powitał. Później udali się do komnaty Ghismondy, gdzie w niewysłowionym szczęściu resztę tego dnia spędzili. Kochankowie postanowili skrywać przed światem swoją miłość i umówili się, jak im postępować należy. Wreszcie Guiscardo zszedł do jaskini, księżniczka zamknęła skryte drzwi i dwórki do siebie przyzwała.

Młodzian, doczekawszy się zmroku, wyszedł nocą z jaskini i do domu powrócił. Znając już drogę, do komnaty księżniczki wiodącą, często swoją ukochaną odwiedzał. Aliści żył los pozazdrościł szczęścia kochankom i radość ich w cierpienie i rozpacz zamienił.

Tankred miał nieraz zwyczaj przychodzić bez świadków do swej córki, aby z nią swobodnie pogwarzyć. Pewnego dnia odwiedził ją po obiedzie. Aliści Ghismondy nie było w komnacie; pospołu z swymi damami przechadzała się po sadzie. Nikt nie widział ani nie słyszał, jak Tankred wszedł do sypialnej komnaty Ghismondy. W komnacie okiennice były zamknięte i zasłony koło łoża opuszczone. Starzec nie chciał córce przerywać przechadzki, ale postanowił czekać na jej przyjście. Siadł na ławie, stojącej w pobliżu łoża, pochylił głowę na posłanie, okrył się kotarą i wkrótce zasnął. Gdyby z umysłu chciał się przed kimś schować, nie mógłby, wierę<sup>26</sup>, lepiej się ukryć. Na nieszczęście tego dnia Ghismonda miała się obaczyć z Guiscardem. Ostawiwszy swoje dwórki w sadzie, księżniczka weszła cicho do komnaty i drzwi za sobą zaparła. Później, nie zauważwszy rodzica, otworzyła tajne drzwi, aby Guiscarda wpuścić. Kochankowie na łożu oddawali się zwykłym uniesieniom miłości, śmieli się i żartowali. Wówczas Tankred przebudził się i spostrzegł, co się dzieje. Srodze zagniewany, chciał w pierwszej chwili wyrzucić wściekłość swoją na miłującą się parę, aliści<sup>27</sup>, pomyślawszy chwilę, postanowił nie zdradzić się i pozostać w ukryciu, aby później z mniejszym wstydem dla siebie i po głębszym namyśle dokonać dzieła zemsty, o której myśl już się w jego duszy zrodziła. Guiscardo i Ghismonda długo z sobą rozstać się nie mogli, nie podejrzewając obecności Tankreda. Wreszcie wstali z łoża, pożegnali się z sobą. Guiscardo zszedł do jaskini, a Ghismonda wyszła z komnaty. Tankred sam w niej pozostał. Nie bacząc na swój wiek podeszły, wyskoczył przez okno do sadu, tak iż nikt go nie spostrzegł. Pełen goryczy i gniewu, do swoich komnat powrócił. Gdy nocą, wkrótce po zmierzchu, Guiscardo chciał wyjść z jaskini, dwaj słudzy, przysłani przez Tankreda, schwycili go, bezbronny, w skórzanym odzieniu, i do ojca Ghismondy zawiedli. Ujrawszy go, starzec z wysiłkiem łyż powstrzymał i rzekł:

— Guiscardo! Zawsze łaskawie z tobą postępując, nie zasłużyłem na ten wstyd i hańbę, na jakie dziś własnymi oczyma patrzeć musiałem.

— Miłość jest silniejsza od nas — tyle tylko odparł Guiscardo.

Tankred rozkazał zamknąć cichaczem młodzieńca w jednej z zamkowych komnat i trzymać go pod ścisłą strażą. Następnego dnia, po długich rozmyślaniach, według zwyczaju udał się po obiedzie do Ghismondy, jeszcze niczego nie podejrzewającej, i zamknąwszy się z nią w komnacie, rzekł do niej ze łzami w oczach:

— Ghismondo! poczytując cię za cnotliwą i uczciwą białogłową, nie uwierzyłbym nigdy, że mogłaś nawet w myślach należeć do człeka, niebędącego twym mężem, gdybym tego na własne oczy nie widział. Twój postępek zatrul goryczą resztę tych dni, co mi jeszcze do życia pozostają. Nigdy tej hańby nie przeboleję. Jeśli ci już upaść było sądzone, przeczże nie wybrałaś sobie przynajmniej człowieka, którego stan nie poniżałby ciebie? Dlaczego spośród tylu żyjących na mym dworze zwróciłaś swój afekt ku Guiscardowi, człekowi niskiej kondycji, którego tylko przez łaskawość swoją wyniosłem, od dziecka go wychowując? Nie wiem jeszcze, jak postąpię z tobą, i ta niepewność mnie dręczy. Los Guiscarda jest już przesądzony. Pochwyciłem go dzisiaj, gdy wychodził z jaskini, i pod straż wziąć go kazałem. Cóż jednak mam z tobą uczynić? Miłość rodzicielska, jaką żaden ojciec córki nie darzył, walczy w mym sercu ze słusznym gniewem, który zrodził we mnie

<sup>26</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

twój bezrozumny postępek. Miłość każe mi przebaczyć, gniew zaś żąda, abym cię wbrew sobie samemu ukarał surowie<sup>28</sup>. Przedtem jednak chcę usłyszeć, co masz do rzeczenia na swoją obronę.

Tutaj starzec opuścił głowę i zasłochał jak zbite dziecko. Usłyszawszy, że Tankred nie tylko o jej ukrytej miłości się dowiedział, ale że kazał Guiscarda pochwyć, Ghismonda w straszną rozpacz popadła. Ledwie się powstrzymać zdołała od jęków i szlochów, właściwych zazwyczaj płci niewieściej. Jednakowoż duma pomogła jej słabość zwyciężyć i rysom oblicza spokój nadać. Mniemając, że Guiscarda nie ma już na świecie, postanowiła raczej swoje życie poświęcić niżli ojca o łaskę dla siebie poprosić. Jęła przeto mówić z księciem, nie jak przystało na białogłowę, zboląłą i uginającą się pod brzemieniem swojej winy, lecz śmiało, niewzruszenie i odważnie. Patrząc ojcu prosto w oczy, nie lejąc łez, rzekła:

— Nie myślę zapierać się, Tankredzie! Nie będę także o łaskę twoją błagać, wiem bowiem, że tamto na nic by się nie zdało, do próśb zaś uciekać się nie chcę. Nie chcę także budzić w twojej duszy dawnej tkliwej miłości, którąś dla mnie zawsze żywił. Poprzestaną na tym, że ci wyznam całą prawdę. Szczere wyznanie wszystkiego cześć moją ocalić mi pozwoli, dlatego też z wielkim męstwem na twój wyrok oczekiwać będę. Miłowałam Guiscarda, miłuję go obecnie i będę go miłowała do śmierci, która zapewne już z bliska mi zagraża. Jeśli ludzie i za grobem miłować mogą, moje uczucia wraz z kresem żywota nie zginą. Nie białogłowska słabość była tego przyczyną, że w sercu moim miłość do Guiscarda wybuchła, jeno<sup>29</sup> jego wielkie przymioty, a także twoja niechęć wydania mnie za mąż po raz wtóry. Będąc stworzony z krwi i ciała, powinieneś rozumieć, mój ojcze, że córka twoja nie jest z kamienia ani z żelaza. Chociaż starcem jesteś, winieneś pamiętać, jak burzliwe i potężne są namiętności lat młodych. Znaczną, najpiękniejszą część życia w służbie rycerskiej spędziłeś, jednakże z eksperyencji wiadomym ci jest, jaki wpływ na ludzi starych, a cóż dopiero na młodych próżnowanie i dostatek wywierają.

Córką twoją jestem i dlatego też istota moja, jako i twoja, z krwi i ciała się składa. Młoda będąc, żyłam mało. Z tym większą siłą namiętność mną owładnęła, że będąc już raz żoną, czym jest miłość i jej słodycze, poznałam. Nie mogąc się oprzeć prawom natury, pokochałam i całą miłości się oddałam, chociaż i próbowałam ile sił walczyć z jej urokiem, aby hańby na siebie i na ciebie nie ściągać. Miłość i los przychylny pozwoliły mi znaleźć drogę, po której idąc mogłam skryć swoją namiętność przed ludzkim wzrokiem. Nie pytam teraz, czy ktoś cię o wszystkim uwiadomił, czy też innym jakimś sposobem tajemnicę moją odkryłeś; dość na tym, że ci prawdę powiadam. Guiscarda wybrałam nie przez przypadek, jako to wiele białogłów czyni, jeno po żrałym namyśle, uważając go za godniejszego od wszystkich dworzan. Wszystko szczegółowie<sup>30</sup> obmyślawszy, ostrożnie przywiodłam go do mej komnaty. Tutaj, z dala od całego świata, długo cieszyliśmy się naszą miłością.

Zdawa mi się, mój ojcze, że hołdujesz przesądom, gniewając się na mnie za to, że pokochałam człeka niskiej kondycji, jak gdybyś za złe mi nie poczytał, gdybym wybrała była szlachcica. Tutaj los jeno zawinił. Wiesz przecie, że przeznaczenie nieraz niegodnych ludzi wynosi, a szlachetnym i zacnym w cieniu żyć każe. Ostawmy jednak na ten czas te roztrząsania i w istotę rzeczy wniknijmy. Zali nie z jednej materii wszyscy stworzeni jesteśmy, zali nie jeden Bóg-Ojciec dusze nasze w jednakowe siły, zdatności i władze uposażył? Bylibyśmy jedni drugim równi całkiem, gdyby dostojeństwa i cnoty różnic między nas nie wniosły. Ludzie, nad tłumem górujący dzięki swym cnotom i zasługom, dla odróżnienia od innych ludźmi szlachetnymi nazwani zostali.

To prawo później nieraz różnym zmianom i skażeniom podlegało, aliści<sup>31</sup> z powierzchni ziemi nie znikło, bowiem ani zdrowy zmysł, ani dobre obyczaje mu nie przeczą. Dlatego też człek, postępujący wedle nakazów cnoty i szlachetności, winien się szlachetnym nazywać, a każdy, kto mu prawa do tej nazwy zaprzecza, raczej sobie niż jemu ujme sprawia. Spójrz na swoich dworaków, na ich obyczaje i przymioty i porównaj tych ludzi z Guiscardem. Jeśli cię nienawiść nie zaślepi, to będziesz musiał przyznać, że jest on najszlachetniejszym z szlachetnych i że twoi znaczni panowie w tyle za nim pozostają.

<sup>28</sup>surowie — dziś popr.: surowo. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>szczegółowie — dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

Miłość silniejsza niż śmierć

Miłość, Ciało, Zmysły

Pozycja społeczna,  
Szlachcic, Cnota



Sąd o przymiotach Guiscarda powzięłam na podstawie słów twoich i świadectwa własnych oczu. Któż więcej od ciebie chwalił go za czyny godne człeka pełnego czci i cnoty? Pochwały twoje słuszne były, bowiem i na większe jeszcze zasługiwał, jak to sama po wielokroć widziałam. Jeślibym się mimo wszystko co do niego pomylić miała, twoje słowa w ten błąd by mnie wprowadziły. Twierdząc, że pokochałam człowieka niższego ode mnie, nieprawdę więc powiadasz. Jeżeli, być może, wyrzucić mi poczujesz, że Guiscardo jest człkiem ubogim, samemu sobie jeno<sup>32</sup> wstydu przyczynisz, bowiem chociaż znane ci były przymioty człeka, twoim sługą będącego, nie zatroszczyłeś się o to, aby jego stan poprawić. Ubóstwo ujmę szlachectwu nie czyni. Wielu znamienitych książąt i królów nędzę cierpiało, z drugiej strony siła<sup>33</sup> jest takich, co ziemię orali i trzodę paśli, a później wielkie bogactwo zdobyli.

Na ostatku powiedziałeś mi, że męczy cię niepewność, co się ma stać ze mną. Nad tym długo głowić się nie powinieneś, skoroś już raz w sędziwej starości postanowił okrutny uczynek spełnić, czegoś nigdy w młodości nie uczynił. Niechaj twoja sroga kara tylko na moją głowę spada, bowiem ja byłam jedyną grzechu przyczyną, jeśli już postępek mój grzechem nazwać można. Do próśb żadnych uciekać się nie myślę. Zaręczam ci, że jeśli nie uczynisz ze mną tego, coś uczynił lub chcesz uczynić z Guiscardem, własnymi rękoma życie sobie odbiorę.

Idź teraz, płacz pospołu z kobietami, a jeśli uważasz, że na okrutną karę zasługujemy, zabij mnie i jego jednym ciosem!

Tankred znał męstwo i wielkość duszy Ghismondy, aliści nie uwierzył, aby tak niezłomnie mogła groźby swoje dopełnić. Rozstał się z nią, postanowiwszy nie karać jej zbyt surowie, miał bowiem nadzieję, że strata kochanka płomienną jej miłość zagasi. Przykazał tedy<sup>34</sup> dwom strażnikom w nocy cichaczem zadusić Guiscarda i wyjąć mu z piersi serce. Pachołcy wypełnili wiernie dany im rozkaz. Gdy dzień nastał, Tankred kazał przynieść wspaniałą złoty kubek, włożył weń serce Guiscarda i posłał je przez najbardziej zaufanego sługę Ghismondzie. »Rodzic wasz — rzec kazał słudze — przysłała wam ten podarunek, aby pocieszyć was po stracie tego, coście najbardziej miłowali, i sprawić wam taką radość, jaką wyście ojcu swemu sprawili«.

Serce

Postanowienie Ghismondy niezmiennie było. Po odejściu ojca opatrzyła się w jadowite zioła i korzenie, uwarzyła je i sok z nich wycisnęła, aby mieć truciznę na pogotowiu w przypadku, gdyby się jej obawy ziścić miały.

Sługa oddał książnicze kubek i powtórzył jej słowa Tankreda. Ghismonda z niezruszonym obliczem przyjęła podarunek ojca. Odkrywszy kielich i obaczywszy serce, od razu wszystko zrozumiała. Nie wątpiła, że jest to serce Guiscarda. Obróciła się tedy do sługi i rzekła:

— Zaiste, takiemu sercu złoty tylko należy się grobowiec. Roztropnie tedy i słusznie ojciec mój postąpił.

Później podniosła serce do ust, pocałowała je i odezwała się:

— Zawsze i aż do tych ostatnich chwil mojego życia doświadczyć mogłam, jak czułą była dla mnie miłość ojca, dziś jednak widzę to bardziej niż kiedykolwiek. Dlatego zanieś mu ode mnie podziękowanie za dar tak wspaniały; ostatnie to dzięki mu czynię.

To rzekłszy zwróciła się do pucharu, który ścisnęła w ręku, i patrząc na serce rzekła:

— O błogosławione źródło wszystkich radości moich! Niech będzie przeklęte okrucieństwo człeka, który oczom moim podał to serce na widok! Z jakimże uwielbieniem patrzyłam co dzień na nie wzrokiem ducha! Droga twoja skończona, los twój się dopełnił! Doszłoś już do tego celu, do którego wszyscy zmierzamy. Wolne jesteś od nieszczęść i trudów żywota. Własny twój wróg zgotował ci wspaniały grobowiec, godny wartości twojej. Na pogrzebie twoim zabrakło tylko jednego: łez kobiety, którąś tak miłowała za życia. Dzięki okrutnemu ojcu memu, który mi cię przysłał, wytrysną one z oczu moich. Obdarzę cię łzami, aczkolwiek przysięgam, że umrę z suchymi oczyma i spokojnym licem. Po czym bez wahania złączę moją duszę z tą, którejś ty, serce, tak wiernie służyło. Pospołu z nią wejść w świat nieznaną. Jakież towarzysz mógłby mi dać więcej radości

<sup>32</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>siła (daw.) — tu: wiele, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

i otuchy? Wiem, że dusza twoja jeszcze tutaj się znajduje, że patrzę na miejsce, gdzie tak szczęśliwi byliśmy. Wierzę, że dusza twoja miłuje mnie i że na duszę moją czeka!

Rzekłszy to, Ghismonda zalała się łzami, nie wydawała jednak jęków, jak to białogłowy czynić są zwykłe. Łzy księżniczki tak obficie się lały, iż można było pomyśleć, że w głowie jej zbiornik wód się skrywa. Ghismonda pochyliła się nad kubkiem i nieskończonymi pocałunkami martwe serce obsypała. Dworki otaczające księżniczkę nie wiedziały, jakie to serce na dnie kubka leży, i nie pojmowały słów Ghismondy. Jednakże płakały z współczucia, na próżno ze wzruszeniem pytały się o przyczynę bólu i z wszystkich sił starały się Ghismondę pocieszyć. Wreszcie księżniczka podniosła głowę, osuszyła łzy i rzekła:

— O drogie, gorąco miłowane serce! Wypełniłam ostatni dług, należny tobie. Teraz pozostaje mi jeno<sup>35</sup> połączyć moją duszę z tą, która w jednych z tobą piersiach żyła!

Rzekłszy te słowa, Ghismonda kazała sobie podać czarę z przygotowaną uprzednio trucizną i wlała ją do kubka na serce, w jej łzach wykąpane. Potem bez trwogi wychyliła napój, legła na posłanie z kubkiem w ręku i przycisnęła do piersi martwe serce kochanka swego. Tak w milczeniu na śmierć czekała. Dworki Ghismondy nie wiedziały, jaki napój ich pani wychyliła, i nie pojmowały znaczenia tego, co się w ich przytomności<sup>36</sup> działo, wszelakoż posłały uwiadomienie do Tankreda. Książę, wielce przerażony, przybiegł do córki. Wszedł do komnaty Ghismondy, gdy ta już na łożu leżała. Tankred ją<sup>37</sup> uspokajać i pocieszać córkę łaskawymi słowy, aliści<sup>38</sup> już późno było. Widząc stan swojej córki, starzec łzami się zalał. Ghismonda rzekła doń w te słowa:

— Zachowaj te łzy, Tankredzie, dla nieszczęść, których nie będziesz powodem. Nie przelewaj łez nade mną, bowiem ja ich nie pragnę. Kto widział, by sprawca, jak ty, oplakiwał to, do czego dążył? Jeśli jednak tli się w tobie jeszcze iskierka dawnej miłości do mnie, okaż mi łaskę ostatnią i złóż moje ciało na spoczynek wieczny pospołu z ciałem Guiscarda, gdziekolwiek pogrzebać go kazałeś. Pozwól naszym prochom razem spokojnie zażywać, skoroś nie pozwolił cieszyć się nam w ukryciu szczęściem za życia.

Łzy nie pozwoliły Tankredowi ni słowa odpowiedzieć. Ghismonda, czując zbliżającą się śmierć, przycisnęła raz jeszcze martwe serce kochanka do swych piersi i rzekła do przytomnych:

— Bóg z wami, umieram!

Wnet zamroczyły się jej oczy, postradała przytomność i po chwili z tym życiem pełnym bólu się rozstała. Tak rozpacznie skończyła się miłość Ghismondy i Guiscarda.

Tankred poniewczasie żałował swego okrucieństwa i oplakując rzewnie śmierć córki, przy powszechnym żalu wszystkich mieszkańców Salerna, z wielką czcią dwa ciała do jednego grobowca złożył<sup>39</sup>.

## OPOWIEŚĆ DRUGA. MIŁOSTKI ARCHANIOŁA GABRIELA

*Brat Albert wmawia w pewną białogłową, że archanioł Gabriel jest w niej rozmiłowany, i pod jego postacią nieraz z nią w łożu bawi. Po czym z trwogi przed jej krewniakami z okna wyskoczywszy chroni się do domu człowieka, który w przebraniu dzikiego męża nazajutrz na plac go wywodzi. Tam rozpoznany, przez braci zakonnych zostaje zabrany i do więzienia utrącony.*

Opowiadanie Fiammetty przytomne<sup>39</sup> damy niejednokrotnie do łez przywiodło. Gdy Fiammetta umilkła, król z niewzruszonym obliczem rzekł w te słowa:

— Chętnie oddałbym życie, gdybym za jego cenę mógł zaznać połowy tych rozkoszy, jakich Guiscardo z Ghismondą zażywał. Nie dziwujcie się, jeśli wam powiem, że w każdej godzinie tysiąc śmierci przeżywam, nieosłodzonych ani jedną chwilą szczęścia. Jednakże nie będę mówił o sobie. Niechaj Pampinea opowie nam z kolei jakąś smutną historię, przypominającą choćby w części los mój rozpaczny. Jeśli jej opowieść podobna będzie

<sup>35</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>w przytomności (daw.) — w obecności. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>przytomny (daw.) — obecny (przy czymś). [przypis edytorski]

do noweli Fiammetty, to ani chybi, kilka kropel rosy upadnie na płomień trawiący pierś moją.

Pampinea, usłyszawszy to wezwanie, wyczuła lepiej chęci towarzyszek swoich niż wyrażone słowami życzenie króla i chciała raczej dać im wytchnienie, a być posłuszną jego rozkazowi o tyle tylko, by głos zabrać; dlatego też nie wychodząc z kręgu zakreślonego, postanowiła ucieszyć damy wesołą i krotochwilną<sup>40</sup> opowieścią i zaczęła w te słowa:

— Wśród ludu istnieje przypowieść, że jeśli ludzie hultaja za dobrego człeka poczytują, może on wiele złego czynić, a przecie nikt w to nie wierzy. Dla ugruntowania tego przysłowia mogę powiedzieć wam siła<sup>41</sup> rzeczy, a także pokazać, jak obłudni mnisi bywają. Filuci ci w długich i szerokich habitach chodzą, obliczom swoim sztuczną błądź przydają i głosem pokornym a cichym o pieniądze proszą, gromko natomiast i twardo obwiniają innych o występki, które sami popełniają; twierdzą przy tym, że jedynie troska o dusze nakazuje im przyjmować dary ludzi pobożnych, a także uważają, że tylko ci zbawienia dostąpić mogą, co im pieniędzy nie skąpią. Obłudnicy ci w mniemaniach swoich wielce się różnią od ludzi uznających, że trudów i cierpień szczerzyć nie lza<sup>42</sup>, jeśli się chce raju dostąpić; po ich uczynkach sądząc, można by wnosić, iż wyłączne prawo do nieba mają. Każdemu, kto umiera, obiecują lepsze lub gorsze miejsce w raju, zgodnie z tym, ile pieniędzy im pozostawi. Tą modłą starają się okłamać zarówno samych siebie, o ile w to wierzą, jak i tych, co im zaufają. Gdyby mi wolno było, opowiedziałabym prostym i łatwowiernym ludziom o tym, jakie to serca ukrywają się pod szerokimi habitami tych obłudników. Dałby Bóg, aby z wszystkimi kłamliwymi mnichami zdarzyło się to, co z pewnym bratem żebrzącym w Wenecji. Z szczególną ochotą opowiem wam jego historię, bowiem żywię nadzieję, że śmiechem i krotochwilą<sup>43</sup> rozproszę ten smutek, który jeszcze w sercach waszych gości, na myśl o śmierci Ghismondy.

„Owóż, mili towarzysze, w mieście Imola<sup>44</sup> żył pewien niegodziwy i grzeszny człowiek, Berto della Massa zwany. Mieszkańcy Imoli, znający wszeteczny sposób jego życia, nie tylko nie wierzyli mu wtedy, gdy kłamał, ale i wówczas, gdy przypadkiem prawdę powiedział. Berto, przekonawszy się, że w rodzinnym mieście nikogo już na hak nie przywiedzie, przesiedlił się do Wenecji, stolicy wszelkich hultajów, i tu umyślił pewnej nowej sztuczki spróbować. Udał tedy<sup>45</sup>, że sumieniem dręczony mocno się kaja za popełnione grzechy, uczynił pozór skromnego i pobożnego nad wszystko człeka, wstąpił do zakonu braci żebrzących i przyjął imię Alberta z Imoli. Włożywszy na się habit, obłudnik jał<sup>46</sup> pozornie wieść świętą i surowy żywot; wszystkim, co do niego przychodzili, pokutę i post zalecał, sam zasię<sup>47</sup> nie jadał mięsa i wina nie pił (jeśli mu się nie udało otrzymać tego, które mu do smaku przypadało). Nikt nie podejrzewał, że łgarz, wszetecznik, złodziej i morderca plugawy, nagle w świątobliwego kaznodzieję przedzierzgniony<sup>48</sup>, dawnych swych skłonności wcale się nie wyzbył i że w skrytości im hołduje. Gdy Albert w czasie nabożeństwa spostrzegł, iż tłum patrzy nań, rzewliwie płakać nad męką Zbawiciela poczynął, umiał bowiem, kiedy chciał, obfite łzy wylewać. Dzięki tym łzom i kazaniom swoim wkrótce brat Albert taką miłość Wenecjan zdobył, że prawie każdy człek, testament sporządzający, wykonawcą swojej woli go czynił. Wielu oddawało mu na przechowanie szacowne przedmioty i pieniądze. Przybywały do niego gromady mężczyzn i kobiet, aby się wyświadczyć i o radę go prosić. Tą modłą wilk w pasterza się przedzierzgnął. O świątobliwościach Alberta rozprawiano więcej, niżli kiedykolwiek mówiono o św. Franciszku z Asyżu.

Pewnego dnia przybyło do Alberta kilka białogłów, chcąc się przed nim wyświadczyć. W ich liczbie znajdowała się młoda, wielce urodziwa i głupia Lisetta z domu Quirino. Mąż jej, bogaty kupiec, właśnie z galerami swymi do Flandrii był odpłynął. Lisetta padła

Religia, Cnota, Pozory,  
Falsz, Pieniądz, Zło

<sup>40</sup>krotochwilny (daw.) — żartobliwy. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>siła (daw.) — dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>nie lza (daw.) — nie można, nie wolno. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>krotochwila — żart, wesołość. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>Imola — miasto we Włoszech, położone nad rzeką Santerno, w regionie Emilia-Romania, w prowincji Bologna. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>jał (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>przedzierzgniony — dziś popr. forma: przedzierzgnięty. [przypis edytorski]

na kolana i z prawdziwie weneckim gadulstwem odpowiedziała mu o wszystkich swoich sprawach. Brat Albert spytał, zali<sup>49</sup> ma miłośnika. Lisetta odparła mu z głębokim nieukontentowaniem:

— Zali nie macie oczu, mój ojczu? Czyż nie widzicie, że urodą nad wszystkimi białogłowami góruję? Mogłabym mieć tylu miłośników, ilu bym tylko zapragnęła. Aliści żaden mężczyzna nie jest mnie godzien. Zali nie sądzicie, że i w raju pięknoscią bym celowała?

W ten sposób tyle głupstw o swej urodzie naplotła, że słowa jej każdego człeka zmierzić<sup>50</sup> by mogły. Brat Albert poznał dowodnie z tej mowy słabość jej rozumu i ocenił, że to pod jego pług pole. Piękność Lisetty żądzę w nim wzbudziła, tak iż gorąco się w białogłowie rozmiłował. Jednakże nie odkrył jej od razu swoich pragnień, postanowiwszy z zalotami czekać na chwilę sposobną. Przeciwnie wcale, chcąc świątobliwość swoją Lisette pokazać, brat Albert począł ją strofować, gromić i mówić jej o pysze i o próżności. Lisetta odparła, że musi być głupcem, skoro nie widzi różnicy między ziemską a nieziemską pięknoscią. Brat Albert, nie chcąc jej do kolery<sup>51</sup> przywodzić, skończył spowiedź i odpuścił ją wraz z innymi białogłowami. Po kilku dniach nasz mnich w towarzystwie swego wiernego przyjaciela wszedł do domu Lisetty, odwołał ją do ustronnej komnaty, z dała od oczu ludzkich, padł przed nią na kolana i rzekł:

— W imię miłości bożej zaklinam was, madonno, abyście mi przebaczyli to, co mówiłem w niedzielę, gdy szło o pięknosć waszą. Następnej nocy tak okrutnie za to ukarany zostałem, że po razach, które spadły na mnie, dopiero dzisiaj z łoża dźwignąć się zdołałem.

— Kto was tak oporządził? — spytała głupia Lisetta.

— Wszystko szczegółowie<sup>52</sup> wam opowiem — odparł Albert. — Kiedy jak to mam w obyczaj, około północy do modlitwy ukląknę, spostrzegłem naraz, że cała moja cela rozjaśniła się złotym światłem. Nim obejrzeć się zdołałem, ujrzałem przed sobą cudownie pięknego młodziana, który gruby kij w ręku dzierżył. Schwycił mnie za kaptur, na ziemię powalił i tak bić począł, iż mi się zdało, że mi wszystkie kości pogruchoce. Spytałem się go, za co mnie tak krzywdzi. Wówczas młodzian zawołał:

»Odbierasz karę za to, że poważyleś się poniżyć dzisiaj niebiańską pięknosć Lisetty, którą to białogłowę po Bogu najwięcej miłuję«.

»Kim jesteście?« — spytałem.

»Jestem archaniołem Gabrielem« — odparł.

»O panie mój — zawołałem — błagam was o przebaczenie!«.

»Gotów jestem odpuścić ci winę — rzekł młodzian — pod tą kondycją<sup>53</sup>, że gdy tylko z posłania się dźwigniesz, zaraz do pani Lisetty się udasz i o przebaczenie ją poprosisz. Jeśli ci nie przebaczy, powrócę tu znowu i tak cię oporządzę, że nigdy, póki życia, o tym nie zapomnisz«. Tu przydał jeszcze kilka słów, aliści<sup>54</sup> nie ośmielę się ich wam powtórzyć, dopóki przebaczenia od was nie otrzymam.

Głupia, próżna i łatwowierna Lisetta z wielką radością słuchała słów mnicha, nie podejrzewając żadnego podstępni ani kłamu. Gdy brat Albert umilkł, rzekła po chwili w te słowa:

— Mówiłam wam przecie, bracie Albercie, że pięknosć moja jest niebiańską pięknoscią. Aliści żal mi was bardzo i byście już więcej nie cierpieli, z całego serca winę wam odpuszczę, jeśli tylko powtórzycie mi to, co anioł powiedział.

— Teraz kiedyście mi przebaczyli — rzekł na to brat Albert — ochotnie wam jego słowa powtórzę, ale na miłość boską, nie mówcie nikomu o tym, że najszcześliwszą białogłową na świecie jesteście, bowiem wszystko wszczęt<sup>55</sup> popsowacie<sup>56</sup>. Anioł kazał mi wam powiedzieć, że niezwykle sobie was upodobał i że często by was nocą nawiedzał, gdyby się nie bał, że was zestracha. Także oznajmić mi przykazał, że wkrótce do was przybędzie, aby z wami pewien czas spędzić. Ponieważ jednak, gdyby w anielskim kształcie się zjawił, nie

<sup>49</sup>zali (daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>zmierzić — odstręczyć, obrzydzić. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>kolera — cholera; złość, wściekłość. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>szczególwie — dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>kondycja (daw.) — tu: warunek. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>wszczęć — doszczętnie, całkowicie. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>popsować (daw.) — popsuć. [przypis edytorski]

moglibyście z nim obcować, tedy<sup>57</sup> z miłości ku wam człowieczą na się przybierze postać. Uwiadomcie go przeze mnie, kiedy i w jakiej postaci widzieć go pragniecie. Archanioł zaraz do was pośpieszy, a wówczas będziecie mogli nazwać się najszczęśliwszą na ziemi białogłową.

Głupiuchna Lisetta rzekła, że niewymownie się cieszy z miłości archanioła, że sama z dawna go już miłuje i nigdy nie przeszła przed jego obrazem, by świecy wotywniej przed nim nie zapalić, że kiedykolwiek by ją odwiedził, zawsze z radością go przyjmie. Zastanie ją w ustronnej komnacie, gotową na jego przyjęcie, byleby jej tylko nie opuścił znów dla Marii Dziewicy, którą ponoć ze wszystkich sił miłuje, jak to widać z malowideł, na których zawsze na klęczkach przed Nią jest wyrażony. Na ostatku przydała, że archanioł może przybyć w czyjejkolwiek postaci, byleby tylko pozór jego straszny nie był.

— Wielce rozumny respons<sup>58</sup> mi daliście — rzekł brat Albert — dlatego też powtórzę archaniołowi wiernie wasze słowa. Możecie i mnie wielką łaskę wyświadczyć, pozwalając aniołowi w moim kształcie u was się pojawić. Wyjaśnię wam, dlaczego to taką łaską dla mnie się okaże: archanioł, biorąc moje ciało na się, uwolni duszę moją z doczesnej powłoki. Przez ten czas, gdy on z wami pozostawać będzie, dusza moja rozkoszy w raju zazna.

— No — odparła na to w ciemną bita białogłowa — tyleście razów z mego powodu odebrali, że nie mogę wam tej łaski odmówić.

— A więc — rzekł brat Albert — niechaj dziś wieczór drzwi waszego domu otworem stoją. Archanioł przybędzie do was w człowieczym kształcie; zrozumiałą przeto jest rzecz, że wejść do domu tylko przez drzwi może.

Lisetta przyrzekła, że wszystko, co trzeba, uczyni, i rozstała się z mnichem. Pozostawszy sama, tak bardzo w pychę urosła, że koszula zadka przykryć jej nie mogła; zdawało się jej, że jeszcze tysiąc lat dzieli ją od chwili odwiedzin archanioła. Brat Albert, wiedząc, że tej nocy nie tyle rolę anioła co dziarskiego jeźdźca odegrać mu wypadnie, jął<sup>59</sup> się pokrzepiać cukrami i różnymi kordiałami, aby łącno<sup>60</sup> z siodła wysadzonym nie zostać. Potem, uzyskawszy od przeora pozwolenie na wyjście z klasztoru, wraz z swym wiernym przyjacielem udał się do domu pewnej rajfurki, skąd nieraz już na podobne gonitwy i łowy się wyprawiał. Przy pomocy różnych barwiczek i szat przekształcił się w anioła i podążył do domu Lisetty. Ta, ujrawszy białą postać, stojącą na progu, rzuciła się na kolana. Anioł podniósł ją, pobłogosławił i dał jej znak, aby z nim pospołu do łoża się położyła. Lisetta posłuchała z ochotą rozkazu archanioła, który po chwili legł obok swej pokornej służki. Brat Albert był czlekiem na schwał, o wielkiej posturze i krzepocie<sup>61</sup>, dlatego też Lisette, jędrne ciało i miękką skórę posiadającej, większą radość zgotował niżli jej mąż. Nie raz i nie dwa tej nocy bez żagli dzielnie płynął, co ona sobie wielce chwaliła. Krom<sup>62</sup> tego opowiadał jej siła<sup>63</sup> cudowności o niebiańskiej szczęśliwości w raju, tak iż pani Lisetta z tego wszystkiego wielce ukontentowana była. Wreszcie, gdy dzień nastał, brat Albert z Lisettą się rozstał, umówiwszy się z nią uprzednio co do powtórznej schadzki, i zabrawszy swe przybory udał się do przyjaciela, który nań czekał w domu znajomej białogłowej, dotrzymującej mu uprzejmie towarzystwa, iżby nie bał się spać sam. Zjadłszy obiad, Lisetta wraz z kilkoma przyjaciółkami udała się do brata Alberta i opowiedziała mu o odwiedzinach archanioła Gabriela, o tym, jak wygląda, i o wszystkim, co odeń słyszała, gdy słał cuda żywota wiecznego, przy czym nie omieszkała przydać do swej opowieści wiele osobliwych bredni i łgarstw.

Wówczas brat Albert rzekł:

— Nie wiem, szlachetna damo, jakieście tej nocy pospołu z nim przebywali, to mi jeno<sup>64</sup> wiadomo, że archanioł zjawił się dziś nocą w mojej celi. Dowiedziawszy się o waszym poleceniu, przeniósł natychmiast duszę moją, gdzie siła róż i pięknych kwiatów rosło w ilości dotychczas przeze mnie niewidzianej. W tym rozkoszonym miejscu bawi-

<sup>57</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>respons (daw., z łac.) — odpowiedź. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>jął (daw.) — zaczął. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>łącno (daw.) — łatwo. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>krzepota — krzepkość, siła. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>siła (daw.) — wiele, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

lem aż do świtania. O tym jednak, co przez ten czas z moim ciałem się działo, nie mam żadnego uwiadomienia.

— Zali wam o tym nie powiedziałam? — spytała Lisetta. — Ciało wasze leżało przez całą noc w moich objęciach. Jeśli upewnić się chcecie, że moje słowa są prawdą, spójrzcie tylko pod lewą pierś swoją, gdzie tak ogień archanioła pocałowała, że ślad tego pocałunku przez kilka dni widoczny będzie.

— Aby ciekawość moją zaspokoić — rzekł brat Albert — uczynię to, czego już od dawna nie czyniłem, a mianowicie rozdzielę się, chcąc się przekonać, czy prawdę powiadacie.

Po długiej gawędzie Lisetta wreszcie odeszła. Brat Albert w anielskiej postaci nieraz ją jeszcze bez przeszkód odwiedzał. Pewnego dnia zdarzyło się, że pani Lisetta, zszedłszy się z swoją sąsiadką, wszczęła z nią dyskurs o piękności, a chcąc w dyspucie wziąć przodek, z zwykłą sobie tępotą zawołała:

— Gdybyście wiedzieli, komu moja uroda do smaku przypada, nie chwalilibyście już innych białogłów piękności.

Kuma, znająca ją dobrze i ciekawa, co te słowa znaczą, rzekła:

— Wszystko to być może, dopóki nie wie się jednak, kto zacz, zdania swego zmienić nie sposób.

— Kumo — rzekła na to mało rozgarniona białogłowa — nie trza o tym szeroko rozpowiadać, dowiedźcie się jednak, że archanioł Gabriel jest moim miłośnikiem. Miłuje on mnie nad życie i powiada, że jestem najurodziwszą na ziemi i na morzu białogłową.

Sąsiadka Lisetty na te słowa o mało śmiechem nie parsknęła, pohamowała się jednak, aby jej nie spłoszyć, i rzekła:

— Na Boga! jeśli archanioł Gabriel został waszym miłośnikiem i te słowa powiedział, to w samej rzeczy tak być musi. Nie sądziłam jednak dotychczas, że aniołowie przykładają się do tych rzeczy.

— Byliście w grubym błędzie — odparła Lisetta. — Niech Bóg mnie skarże, jeśli archanioł czynności tych lepiej od mego męża nie spełnia. Upewniał mnie nawet, że na tamtym świecie nie inaczej się to odbywa. Ponieważ jednak w raju nie mógł znaleźć białogłowy równej mi pięknością, dlatego rozmiłował się we mnie i co noc mnie odwiedza. Pojmujecie teraz wszystko.

Sąsiadka pożegnała panią Lisettę, aby jak najprędzej naśmiać się z tego, co słyszała. W czasie uczty, spotkawszy niebawem wiele towarzyszek, opowiedziała wszystkim białogłowom dziwną historię Lisetty. Damy powtórzyły jej słowa swym mężom i przyjaciółkom. Te z kolei także języki rozpuściły. Po dwóch dniach cała Wenecja mówiła tylko o przypadkach pani Lisetty. Nowina doszła także do uszu szwagrow pani Lisetty, którzy postanowili natychmiast anioła pojmać, aby przekonać się, zali<sup>65</sup> on latać umie. Z tą myślą, nic Lisette nie mówiąc, przez kilka nocy jeli sprzątać straż koło jej domu. Brat Albert, do którego jakieś słuchy także doszły, wybrał się pewnej nocy do swej kochanki, aby ukarać ją za gadulstwo. Ledwie rozebrał się, gdy szwagrowie Lisetty, ujrawszy go, jak wchodził, poczęli się do drzwi dobijać. Brat Albert okrutnie się zestrachał pojąwszy, jakie niebezpieczeństwo mu zagraża. Nie wiedząc, gdzie by się ukryć, dopadł do okna, otworzył je i skoczył do wielkiego kanału. Ponieważ w miejscu tym była głębia, a on dobrze pływał, żadnej więc szkody sobie nie wyrządził. Przeplłynawszy do drugiego brzegu, obaczył, że drzwi pewnego domu otworem stoją, wszedł zatem czym prędzej do wnętrza. W komnacie był jakiś mężczyzna. Brat Albert ją<sup>66</sup> go błagać, aby mu życie dla miłości bożej ratował; nagadał mu przy tym różnych bajęd o tym, skąd uciekł i dlaczego tu o tej porze nago się pojawił. Gospodarz domu, tknięty współczuciem, poradził mu, aby się do łoża położył i spokojnie jego powrotu oczekiwał, musi bowiem oddać się dla sprawy niecierpiącej zwłoki. Rzekłszy to, wyszedł i drzwi za sobą zawarł<sup>67</sup>.

Tymczasem szwagrowie Lisetty, wtargnąwszy do jej komnaty, przekonali się, że archanioł ostawił skrzydła i odleciał. Okrutnie z tego powodu rozgniewani, nie szczędzili ostrych słów swojej krewniaczce. Później, pochwywszy anielskie szaty, do swego domu się udali, zostawiając ją niepocieszoną. Tymczasem zrobił się dzień jasny. Człek, który

<sup>65</sup>zali (daw.) — czy. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>zawrzeć (daw.) — zamknąć. [przypis edytorski]

Alberta przygarnął, stojąc na moście Rialto, usłyszał gadki o tym, że archanioł Gabriel u Lisetty nocował i że, zdybany przez jej szwagrow, ze strachu do wody skoczył. Co się stało z tym arcyszelmą po skoku do kanału, nikt jednakowoż nie wiedział. Usłyszawszy tę opowieść, dorozumiał się od razu, jaki to nieborak go o pomoc prosił. Powrócił do domu, przymusił mnicha do wyznania prawdy i oznajmił mu, że jeśli nie otrzyma pięćdziesięciu dukatów, szwagrom Lisetty go wyda. Po długim gadaniu Albert obiecał, że życzenie wypełni, i jął go pytać, jakim sposobem mógłby do swego domu się przemknąć.

— Jeden tylko środek ratunku widzę — rzekł Wenecjan — aliści<sup>68</sup> nie wiem, czy się nań zgodzicie. Dzisiejszego dnia odbywa się w mieście wielka uroczystość. Wielu ludzi przywozi z sobą na plac Świętego Marka różne maskary. Można obaczyć niedźwiedzie, dzikich mężów i stwory rozliczne. Potem odbywają się łowy; po ich ukończeniu ludzie i maskary rozchodzą się po domach. Jeśli zgadzacie się zatem larwę na się nałożyć, zanim was tu wysłędzą, po uroczystości odprowadzę was tam, gdzie chcecie. W przeciwnym razie nie wiem, jak się stąd wydostaniecie, ponieważ szwagrowie Lisetty, podejrzewając, że gdzieś w pobliżu się ukrywacie, rozstawili czaty dokoła.

Chocia bratu Albertowi nie bardzo po myśli było wyjście z domu w podobnej postaci, jednak ze strachu przed krewniakami damy na wszystko przystał i wskazał swemu wybawcy, dokąd ma go potem odprowadzić. Wenecjanin wymazał go wnet całego miodem, a potem puchem ptasim go obsypał, włożył mu na szyję obrożę, do łańcucha przytwierdzoną, twarz larwą<sup>69</sup> nakrył i wraziwszy mu do jednej ręki potężną maczugę, drugą kazał prowadzić na smyczy dwa olbrzymie kundły przywiedzione od rzeźnika, tymczasem zaś z prawdziwie wenecką uczciwością posłał pewnego zaufanego człeka na most Rialto, aby tam całemu ludowi wiadomym uczynił, że kto chce archanioła Gabriela obaczyć, będzie go mógł ujrzyć na placu Świętego Marka.

Wkrótce potem Wenecjanin wyszedł z domu, prowadząc przed sobą na łańcuchu brata Alberta. Zgiełk powstał. Wszyscy, co go ujrzeli, pytali się: »Co to takiego? Kto zacz?«. Gospodarz przywiódł Alberta na plac Świętego Marka. Na placu zebrała się, idąc za nimi, nieprzeliczona ćma ludu, do której dołączyli się jeszcze ludzie z Rialto, już o historii anioła uwiadomieni. Wenecjanin przywiązał Alberta do słupa, stojącego na miejscu podwyższonym, udając, że czeka na rozpoczęcie łowów. Muchy i bąki rzuciły się na Alberta miodem pomazanego i jęły<sup>70</sup> go kąsać w nielitościwy sposób. Gdy już plac całkiem się zaludnił, Wenecjanin podszedł do Alberta, rzekomo w tym celu, aby z łańcucha spuścić dzikiego męża; miast<sup>71</sup> tego jednak, zerwał mu larwę z twarzy i wielkim głosem zawołał:

— Moi przyjaciele! Ponieważ dzik się nie zjawił, łowy odbyć się nie mogą. Chcąc wam jednak tę stratę i fatygę wynagrodzić, pokażę wam archanioła Gabriela, który nocą z nieba na ziemię schodzi, aby weneckie niewiasty pocieszać!

Wszyscy po zdjęciu maski od razu brata Alberta poznali. Zewsząd rozległy się groźne okrzyki. Tłum obsypał nieszczęśliwca najgorszymi obelgami, szyderstwami i błotem go obrzucił. Udręka mnicha, Bóg wie, jak długo by trwała, gdyby wieść o zdarzeniu do klasztoru nie doszła. Wysłano zaraz sześciu mnichów, którzy precyzyjnie się przez tłum, spuścili Alberta z łańcucha i narzucili nań habit. Później wśród krzyku i wrzasku przytomnych zawiedli go do klasztoru i do ciemnicy wtrącili. Ponoć brat Albert w tym lochu życia nędznie dokonał.

Tak tedy<sup>72</sup> człek, który za dobrego był poczytywany, a źle czynił, czemu wierzyć nie chciano, zapragnąwszy w końcu za archanioła Gabriela się wydać, w dzikiego męża przedzierzgnięty został. Poniósł wreszcie zasłużoną karę i daremnie później swoje grzechy oplakiwał. Oby Bóg zdarzył, aby wszystkim doń podobnym równy los przypadł w udziale”.

## OPOWIEŚĆ TRZECIA. ZAZDROŚĆ

<sup>68</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>larwa (daw.) — maska. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>jęć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>miast (daw.) — tu: zamiast. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

*Trzej młodzieńcy, miłujący trzy siostry, uciekają pospołu z nimi na wyspę Krete. Najstarsza siostra z zazdrości miłośnika swego zabija, druga, oddając swe wdzięki księciu Krety, od śmierci ją wybawia. Za to jej kochanek życia ją pozbawia i z pierwszą z nich ucieka. Najmłodszą parę o to zabójstwo obwiniają, a ta, pojmana, do winy się przyznaje. Obawiając się śmierci, kochankowie przekupują straż i bez grosza salwują się ucieczką na wyspę Rodos, gdzie później w wielkim niedostatku umierają.*

Filostat, wysłuchawszy opowieści Pampinei, rzekł po chwili milczenia:

— W waszej opowieści przy końcu były rzeczy, które mi do smaku przypadły, przedtem jednak zbyt mało śmiać się było trzeba, a przecie ja nie tego chciałem.

Po tych słowach, zwracając się do Lauretty, rzekł:

— Pani, na ciebie teraz kolej przypada. Chciej nam, jeśli to możliwe, coś lepszego opowiedzieć.

— Zbyt niemilosiernymi dla kochanków jesteście — odparła ze śmiechem Lauretta — i wiecznie pragniecie, aby ich miłość nieszczęśliwie się kończyła. By wam dogodzić, opowiem historię o trzech parach, które po krótkiej szczęśliwości równie zły spotkał koniec.

I tak zaczęła:

— Moje miłe towarzyski! Zapewne dobrze wiecie, że każda przywara<sup>73</sup>, każda występna namiętność przynieść może wielką szkodę nie tylko temu, co się jej wpływowi poddaje, ale często i innym. Osobliwie gniew, według mego mniemania, w większą biedę nas gna bez hamulca niżli inne złe namiętności. Gniew jest bowiem gwałtownym i nierozważnym wzburzeniem duszy, wywołanym zaznaną przykrością, które nam możność rozsądnego myślenia odejmuje; oślepia on oczy nasze i całą naszą istotę niepojętą wściekłością napenia. Namiętność ta częściej w duszach mężczyzn się zapala, przy tym u jednych z większą, u drugich z mniejszą wybucha siłą, jednak przyznać trzeba, że i kobiety od niej wolne nie są. Gniew ich większe jeszcze sprowadza niedole, gdyż łatwiej się rozpała, jaśniej płonie i nieograniczoną władzę nad nimi bierze. Nie lza się zresztą dziwić temu, zważywszy, że ogień łatwiej letkich<sup>74</sup> i kruchych rzeczy się ima niżli twardych i ciężkich przedmiotów, my zaś (niechaj mężczyźni mi tych słów za złe nie biorą) delikatniejsze i wrażliwsze od nich jesteśmy. Zauważę przy tym, że nasza przyrodzona łagodność i dobroć jest źródłem rozkoszy i wytchnienia dla bliskich nam mężczyzn, gdy tymczasem nasza gniewliwość wiele nieszczęść na nich sprowadza i w wielkie niebezpieczeństwa ich wtrąca. Dlatego też z wszystkich sił starać się winniśmy o utrzymanie naszego gniewu na wodzy. Teraz opowiem wam historię trzech młodzieńców i trzech umiłowanych przez nich dziewcząt; wszyscy wskutek gniewu jednej z białogłów z ludzi wielce szczęśliwych w nieszczęśliwych się przemienili.

„Jak wam dobrze wiadome jest, Marsylia, nad brzegiem morskim w Prowancji leżąca, jest miastem czcigodnym i dobrze starożytnym. Gród ów ongiś więcej niż dzisiaj w bogatych kupców obfitował. Pośród nich słynął z osobnych<sup>75</sup> bogactw swoich Arnald Civada, człek z niskiego rodu idący, aliści<sup>76</sup> uczciwy i wielką rzetelnością się odznaczający, i niezmiernie posiadający majątkości. Żona obdarzyła go kilkorgiem dzieci; pośród nich były trzy dziewczęta od chłopców starsze. Dwie dziewczki, które bliźniaczkami były, liczyły po lat piętnaście, trzecia właśnie czternasty rok rozpoczęła. Arnald z towarami do Hiszpanii odjechał. Krewniacy czekali tylko na jego powrót, aby dziewczki za mąż wydać. Jedna z córek kupca zwała się Ninetta, druga Magdaleną, a trzecia Bertellą. Do Ninetty pewien młody i ubogi szlachcic, nazwiskiem Restagnone, najtkliwszy afekt żywił. Ninetta odpłacała mu wzajemnością. Oboje poczynali sobie tak ostrożnie, że w tajności przed całym światem mogli swoją miłością się cieszyć. Ten tajemny ich stosunek trwał dość długo, gdy nagle zdarzyło się, że dwóch młodzieńców, dziedziców znacznej fortuny, po śmierci ojców swoich w Magdalenie i Bertelli się zakochało. Jeden z nich zwał się Folko, drugi Ughetto. Gdy Ninetta o tym przyjacielowi opowiedziała, ów postanowił z ich pomocą z niedostatku swego się wydobyć. W tym celu zbliżył się z nimi i to jednemu, to

Gniew

<sup>73</sup>przywara (daw.) — wada. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>letki (daw., gw.) — lekkie. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>osobny — tu: szczególny, wyjątkowy. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]



drugiemu ułatwia spotkanie z ukochanymi. Nieraz także jednocześnie im towarzyszył, nie zaniehbując zarazem swojej wybranej. Wreszcie Restagnone, przekonany, że pozyskał już całkiem ich przychyłność, zaprosił ich pewnego dnia do swego domu i rzekł do nich:

— Wszystko, co uczyniłem dla was, mili przyjaciele, okazuje wam dowodnie, jaką przyjaźń dla was żywię. Wiedźcie, że gotów byłbym uczynić dla was to, co tylko dla siebie samego uczynić bym zdołał. Powiem wam teraz, jaka myśl mi do głowy przyszła, w y zasię<sup>77</sup> po naradzie ze mną sami osądźcie, co czynić należy.

Jeśli słowa i postępk i wasze nie kłamią, to przyznać trzeba, że równie gorąco miłujecie Magdalenę i Bertellę, jak ja ich siostrę. Chcę wam, jeśli się zgodzicie, podsunać pewien środek, dzięki któremu afekty nasze do lubego wkrótce kresu przywiedzione zostaną. Wy jesteście ludźmi bogatymi, ja zasię nic nie posiadam. Jeśli, zebrawszy do kupy wszystkie swoje bogactwa, rozdzielicie pieniądze na trzy części i mnie jedną z nich oddacie, to zostanie wam tylko wybrać stosowne miejsce, gdzie byśmy pospołu z swymi kochankami szczęśliwie żyć mogli. Zdaje mi się, że bez zbytnich trudów siostry ku temu skłonię, aby, zabrawszy znaczną część majątności swego ojca, w nasze ślady poszły. Poczniemy żyć jak trzech bracia, każdy z swoją umiłowaną, i staniemy się najszczęśliwszymi na świecie ludźmi. Odpowiedzcie mi teraz, czy mam ten zamiśl porzucić, czy też do jego wykonania przystąpić?

Dwaj młodzieńcy, najgorętszą miłością płonący, usłyszawszy, że będą mogli posiadać kochank i swoje, nie namyślali się długo i odparli, że zamiśl Restagnona gotowi są w czyn wprowadzić. Otrzymałszy zgodę Folka i Ughetta, Restagnone po kilku dniach zdołał zejść się tajemnie z Ninettą, co mu często nie bez wielkich trudności udawało się osiągnąć, i opowiedział jej wszystko, co pospołu z dwoma młodzieńcami uczynić zamyślił, dokładając sił wszelkich, by ją dla tego zamierzenia pozyskać. Przekonać ją trudno nie było, bowiem Ninetta niczego tak nie pragnęła, jak żyć z Restagnonem w bezpieczeństwie, nie lękając się o miłość swoją. Odparła zatem, że jego zamiśl jest doskonały i że siostry ochotnie w tym za jej przykładem pójdą. W końcu dziewczka jęła<sup>78</sup> go naglić, aby jak najprędzej wszystko do ucieczki przysposobił. Restagnone powrócił do Folka i Ughetta, którzy z niecierpliwością na odpowiedź swych kochanek czekali, i oznajmił im, że siostry zgodę swą wyraziły. Młodzieńcy postanowili osiedlić się na Krecie. Folko i Ughetto sprzedali swoje majątności pod pokrywką, iż handlem parać się zamierzają, obróciwszy wszystko, co posiadali, na pieniądze, nabyli letką<sup>79</sup> fregatę, uzbroili ją po kryjomu, opatrzyli w rzeczy niezbędne i jęli czekać chwili sposobnej. Ninetta, znająca dobrze tajne pragnienia swych sióstr, tyle pięknych słówek o przyszłości im naopowiadała, że nie mogły się doczekać dnia odjazdu. Gdy nadeszła noc, w ciągu której na pokład fregaty wstąpić miały, trzy siostry otwarły szkatułę swego rodzica i wzięły z niej wielką ilość klejnotów i monet złotych. Później z największą ostrożnością wyszły z domu i wedle umowy udały się w to miejsce, gdzie Restagnone, Folko i Ughetto na nie czekali. Młodzieńcy i dziewczęta weszli bez zwłoki na pokład; zapuszczono wiosła w wodę i fregata odbiła od brzegu. Nie zatrzymując się nigdzie w drodze, następnego wieczora przybyli do Genui, gdzie po raz pierwszy uniesieniem miłości się oddali. Opatrzywszy się we wszystko, co im potrzebne być mogło, popłynęli dalej, zawijając do różnych portów, aż wreszcie ósmego dnia bez żadnych przypadków do Krety dotarli. Tam zakupili piękne dobra i niedaleko od Kandii urocze pałace zbudowali. Po czym wśród uczt, rozkoszy i dostatków jakby baronowie żyć poczęli. Mieli liczną służbę, psy, sokoly i konie.

Jednakoż ludziom, żyjącym pośród rozkoszy i nijakich przeciwięstw niemającym, wkrótce mierznie nawet to, co im najmiłsze było. Tak zdarzyło się i z Restagnonem, który niedawno jeszcze Ninettę najczulej miłował. Od chwili gdy już bez przeszkód mógł się jej miłością cieszyć i ją posiadać, jego afekt chłódnać począł. Pewnego dnia na uczcie spotkał młodą i urodziwą szlachciankę w stronach tych wzrosła, w której wielce sobie upodobał. Restagnone nie szczędził zachodów, aby jej wzajemność zdobyć, i na jej cześć wspaniale uczy wyprawiał. Ninetta, spostrzegłszy to, taką zazdrością zapłonęła, że od tej chwili Restagnone jednego kroku uczynić nie mógł, aby wieść o tym do niej nie doszła, a potem okrutne wyrzuty go nie spotkały. Jak przesytnudę i wstrętną za sobą wlecze, tak

<sup>77</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>jęć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>letki (daw.) — lekkie. [przypis edytorski]

też znów trudności żądę podsycają. Dlatego też wyrzuty Ninetty jeno<sup>80</sup> pragnienie Restagnona powiększały. Nie wiedzieć, czy młodzieniec pozyskał względy ukochanej damy, dość na tym, że Ninetta wszystko, co jej doniesiono, za prawdę rzetelną przyjęła. Z powodu wiarołomstwa Restagnona w najgłębszą rozpacz popadła, która później przemieniła się w szalony gniew, a miłość jej ustąpiła miejsca gwałtownej nienawiści. Tą nienawiścią zaślepiona, postanowiła niewiernego śmiercią ukarać, i w ten sposób zmyć hańbę, którą jak mniemała, jej wyrządził.

Na wyspie mieszkała pewna starucha, Greczynka, biegła w przyrządzaniu zabójczych jadów. Ninetta prośbami i podarkami skłoniła ją do przygotowania śmiertelnego napoju. Otrzymawszy truciznę, pewnego dnia, gdy Restagnone wielce utrudzony i zgrzany do domu powrócił, podała mu jad do wypicia. Silna trucizna zaraz swój skutek wzięła, tak iż jeszcze przed świtaniem umarł. Folko i Ughetto pospołu ze swymi kochankami nawet nie domyślali się, jaka była przyczyna śmierci Restagnona, i razem z Ninettą śmierć jego gorzko oplakiwali. Ciało młodzieńca z wielką czcią do grobu złożone zostało. Jednakże po krótkim czasie zdarzyło się, że starucha-trucicielka, na nowej niecnocie pochwycona, do ciemnicy wtrącona została. Na pytki wzięta, do wielu zbrodni się przyznała, a także rzekła, że jad dla Ninetty przygotowała. Nie było wątplenia, jaki wywołał on skutek. Książę Krety, nic nie rozgłaszając, w pałacu Folka pewnej nocy po cichu i bez oporu Ninettę pochwyć kazał. Białogłowa, nie czekając, aż ją na tortury wezmą, opowiedziała wszystko, co śmierci Restagnona się tyczyło. Wówczas książę uwiadomił Folka i Ughetta o przyczynie uwięzienia Ninetty, młodzieńcy zaś opowiedzieli o tym Magdalenie i Bertelli. Siostry winowajczynie w niezmierną rozpacz popadły i ze wszystkich sił swoich starać się poczęły o ocalenie nieszczęśliwej, która na stosie spalona być miała, po sprawiedliwości na to zasłużony. Wszystkie ich wysiłki na niczym speszły, bowiem książę twardo postanowił sądu nad zbrodniarką dopełnić. Wreszcie urodziwa i młoda Magdalena, do której książę już od dawna daremnie się zalecał, pomyślała, że okazawszy uległość jego woli, zdoła siostrę od stosu wybawić. Wybrawszy zatem stosownego wysłańca, zawiadomiła przezeń księcia, że gotowa jest być posłuszną jego chęciom, pod dwoma wszakże warunkami, a mianowicie: że książę uwolni Ninettę i że wszystko, co między nimi zajdzie, w głębokiej tajności zachowa. Książę z wielkim ukontentowaniem wysłuchał poselstwa, długo się jednak wahał, jak mu postąpić wypada. W końcu jednak zgodził się, tak iż kazał Magdalenę uwiadomić, że jej kondycje<sup>81</sup> przyjmuje. Porozumiawszy się z nią uprzednio, wydał pewnej nocy rozkaz uwięzienia Folka i Ughetta pod pokrywką, że chce ich przesłuchać, sam zaś tajnie do domu Magdaleny przybył. Ninettę już przedtem w worek zaszyto, aby wrzekomo do morza ją wrzucić. Miał tego jednak, książę przywiódł Ninettę do Magdaleny, jako zapłatę za jej łaskawość. Żegnając się o świcie z Magdaleną, książę błagał ją na wszystko, aby tej pierwszej nocy miłości za ostatnią uważać nie chciała. Krom tego polecił jej jeszcze, aby Ninettę z wyspy odprawiła, w przeciwnym razie bowiem mieszkańcy Krety przeciw niemu poburzyć by się mogli, zmuszając go do nowej surowości względem winowajczynie. Następnego dnia Folko i Ughetto swobodę odzyskali. Dowiedziawszy się, że Ninettę do morza wrzucono, uwierzyli temu i pośpieszyli do domu, aby swoje kochanki pocieszyć. Magdalena starała się ukryć Ninettę, jednakże Folko ku wielkiemu swemu zadziwieniu odkrył, że w jego domu siostra jego kochanki przebywa. Zdumiał się wielce i w duszy jego obudziło się podejrzenie, zwłaszcza że już przedtem był słyszał o miłości księcia do Magdaleny; dlatego też spytał ją, jakim sposobem Ninetta tu się znaleźć zdołała. Magdalena kunsztowną bajkę ułożyła, aliści<sup>82</sup> bystry Folko kochance swojej nie uwierzył, jeno przymusił ją, aby mu całą prawdę wyznała. Białogłowa po długich wykrętach wszystko mu wreszcie opowiedziała. Wówczas Folko, gniewem i boleścią przenikniony, dobył szpady i nie dając do się przystępu błaganiom i zakłębom Magdaleny, życia ją pozbawił. Potem, zdjęty trwogą na myśl o zemście i sądzie księcia, ostawił zwłoki na miejscu i udał się do komnaty, w której Ninetta się ukrywała.

<sup>80</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>kondycja (z łac.) — warunek. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

— Śpieszmy — rzekł do niej z udanym uśmiechem na twarzy — odwiozę cię tam, gdzie zgodnie z życzeniem siostry twojej się osiedlisz, aby nie dostać się znowu w ręce księcia.

Ninetta uwierzyła słowom Folka. Obawiając się księcia, nie pożegnała się nawet z Bertellą i tejsze nocy jeszcze pospołu z Folkiem Kretę opuściła. Młodzieniec w pośpiechu tylko niewielką sumę pieniędzy z sobą zabrać zdołał. W porcie wsiedli w barkę i od brzegu odbili. O dalszych ich losach wieści zaginęły.

Nazajutrz zwłoki Magdaleny znaleziono. Ludzie, Ughettowi zawistni i nienawidzący go, o wszystkim księciu donieśli. Księżę, który gorąco Magdaleny miłował, zaraz do domu Ughetta przybył i kazał go pochwycić pospołu z Bertellą, nim jeszcze kochankowie o śmierci Magdaleny i ucieczce Folka i Ninetty dowiedzieć się zdołali. Przymuszono ich do wyznania, że pospołu z Folkiem Magdaleny zabili. Wiedząc, że to wyznanie niechybną śmierć na nich sprowadzić musi, nieszczęśnicy z wielkim trudem przekupili strażę częścią pieniędzy, którą w domu ukryli na nieprzewidziane przypadki, i wraz ze strażą, nie mając czasu zabrać niczego z rzeczy swoich, na łodzi nocą ucieczką się salwowali, na wyspę Rodos docierając. Wkrótce potem w niedostatku i w strapieniu zeszli tam z tego świata. Oto w jakie obierze<sup>83</sup> Restagnone i Ninetta samych siebie i drugich wtrącili dzięki nierozumnej namiętności pierwszego i gniewowi drugiej”.

## OPOWIEŚĆ CZWARTA. NARZECZONA KRÓLA GRANADY, CZYLI NIESZCZĘŚNI MIŁOŚNICY

*Gerbino wbrew przysiędze danej przez dziada jego, króla Wilhelma, napada na statek króla Tunisu, by uprowadzić jego córkę. Ludzie zatępi śmierć jej zadają, za co on ich wycina, a wreszcie sam głowę położyć musi.*

Gdy Lauretta umilkła, całe towarzystwo dało wyraz współczucia dla nieszczęśliwych kochanków. Niektórzy srogo Ninettę za jej zapamiętałą zazdrość ganili, inni znów różnie uwagi czynili. Wreszcie król, jak gdyby z głębokiej zadumy zbudzony, podniósł głowę i na Elizę skinął. Ta skromnie w te słowa zaczęła:

— Drogie towarzyszk! Wielu utrzymuje, że miłość tylko przez oczy do serca się dostaje i z nich strzały swoje wypuszcza. Ci, co tak mniemają, śmieją się z tych, którzy wierzą, że zakochać się można także i ze słuchu. Z noweli mojej dowodnie się przekonacie, że mniemanie pierwszych jest omylne. Obaczycie zaraz, że pewien młodzian i dziewczyna, nie widziawszy się zgoła, nie tylko ze słuchu w sobie się wzajemnie rozmiłowali, lecz i z powodu swego afektu nieszczęśliwie pomarli.

„Wilhelm II, król Sycylii<sup>84</sup>, miał dwoje dzieci, syna, Ruggiera, i córkę, Konstancję. Ruggieri, jeszcze przed swym ojcem do grobu zstąpiwszy, pozostawił syna imieniem Gerbino. Dziad nie szczędził trudów, aby dziecię przykładowie wychować. Gerbino wyrósł na urodziwego młodzieńca odznaczającego się męstwem i dwornością. Sława jego rozeszła się nie tylko po Sycylii, ale i po innych krajach. Przed wszystkim jednak zasłynął on w Berberii, prowincji, która podówczas królowi sycylijskiemu zhołdowana była. Córka króla Tunisu zasłyszała także o męstwie i dworności Gerbina. Wedle zdania wszystkich, którzy ją znali, była to jedna z najpiękniejszych dziewczeczek, jakie kiedykolwiek natura stworzyła. Krom<sup>85</sup> tego, młódka odznaczała się wieloma zaletami i szlachetnością duszy. Lubiała ona słuchać opowieści o czynach dzielnych ludzi, dlatego też to ten, to ów o bohaterstwie Gerbina jej opowiadał. Wieści o młodym rycerzu w taki zachwyty księżniczkę wprawiły, iż do uroczego jego obrazu, który w duszy sobie utworzyła, niewymowną zapłonęła miłością. O Gerbinie jeno<sup>86</sup> mówiła i tylko o nim słuchać chciała.

<sup>83</sup>obierza (daw.) — sieć, pułapka. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>Wilhelm II Dobry (1155–1189) — król Sycylii 1166–1189, przy czym do 1171 regentką w jego imieniu była matka, Małgorzata z Nawarry, po przedwczesnej śmierci króla Wilhelma I zw. Złym; Wilhelm II prowadził politykę popierającą papieżstwo i Ligę Lombardzką przeciw cesarzowi Fryderykowi Barbarossie; w *Boskiej Komedii* Dante umieścił go w niebie. Wilhelm II ze swą żoną Joanną, córką króla Anglii Henryka II Plantageneta miał tylko młodo zmarłego syna Boemunda. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

Tymczasem na Sycylię przeniknęły słuchy o niezwyklej piękności i wielkich zaletach księżniczki. Gerbino nieraz słuchał z upodobaniem opowieści o niej i słuchał nie na próżno, bo wreszcie zapłonął do księżniczki afektem równym temu, jaki ona dlań żywiła. Pełen chęci obaczenia jej na własne oczy, szukał stosownego pozoru, aby poprosić dziada o pozwolenie udania się do Tunisu. Czekał na chwilę sposobną, prosił każdego ze swoich przyjaciół, dążących w tamte strony, aby w jakiś chytry sposób do księżniczki się zbliżył, uwiadomił ją o jego tajemnej miłości i respons<sup>87</sup> jej mu przywiózł.

Jeden z przyjaciół Gerbina bardzo zręcznie poselstwo jego sprawił. W przebraniu kupca, sprzedającego różne ozdoby niewieście i klejnoty, dostał się do zamku. Upatrzywszy stosowną chwilę, oznajmił księżniczce, że Gerbino gorąco ją miłuje i że wraz ze wszystkim, co posiada, w jej służby się oddaje. Księżniczka z łaskawością przyjęła wysłannika, którego słowa wielką jej radość sprawiły. Później poprosiła rzekomego kupca, aby odpowiedział księciu, że równą miłością do niego pała, i aby na dowód jej afektów wręczył mu jeden z najdroższych jej klejnotów. Gerbino z uniesieniem najwyższym przyjął dar księżniczki. Dzięki pośrednictwu tego samego przyjaciela jeszcze nieraz umiłowanej dziewczeczce wspaniałe dary i listy mógł posyłać. Młodzi kochankowie obiecywali sobie w listach, że przy pierwszej sposobności ujrzą się, jeśli tylko los ich zamysłem sprzyjać będzie. Jednakże, gdy tak do siebie się rwali, do chwili tego spotkania upłynęło więcej czasu, niżby się byli spodziewali. Król Tunisu oddał rękę swej córki królowi Granady. Księżniczka w straszną rozpacz popadła, wiedziała bowiem, że nie tylko się od swego umiłowanego niezmiernie oddali, ale że i całkiem go utraci. Gdyby miała możliwość, nie mieszkając<sup>88</sup> uciekłaby od swego ojca do Gerbina. Gerbino, złowrogą wieść usłyszawszy, także w niewymowny smutek się pogrążył i często rzecz rozważając, postanowił siłą księżniczkę pochwytać, gdy ona morzem do Granady płynąć będzie. Do króla Tunisu doszły tymczasem słuchy o miłości Gerbina do jego córki i o zamysłach młodzieńca. Znając jego zuchwałstwo i odwagę, gdy nadszedł czas odesłania córki, zawiadomił króla Sycylii, co czynić zamierza, i prosił go, aby mu dał słowo, że ani Gerbino, ani nikt z jego poruczenia wstrętów czynić nie będzie. Sędziwy król Wilhelm nie był świadom afektu, jaki do księżniczki wnuk jego żywił. Daleki od myśli, że podobnej obietnicy domagano się dla obawy przed Gerbinem, natychmiast do prośby władcy się przychylił i na znak żądane go zapewnienia posłał królowi Tunisu swoją rękawicę. Otrzymałszy tę oznakę przyjaźni Wilhelma, król Tunisu w porcie kartagińskim wspaniały okręt narządzić kazał, a potem opatrzył go we wszystkie rzeczy do podróży potrzebne. Gdy korab już był gotów, tylko na wiatr pomyślny jeszcze oczekiwano. Młoda księżniczka, która wszystkie te przygotowania widziała, wysłała tajnie do Palermo jednego ze sług swoich, przykazawszy mu pokłonić się Gerbinowi i powiedzieć mu, że za kilka dni do Granady wyrusza. Teraz więc nadchodzi stosowna pora, aby Gerbino pokazał, czy istotnie jest tak dzielny, jak o tym powiadają, i czy w samej rzeczy tak ją miłuje, jak nieraz o tym zapewniał. Sługa wywiązał się znakomicie ze swego polecenia i do Tunisu powrócił. Gerbino, otrzymawszy powyższą wiadomość, nie wiedział, co mu uczynić należy, wiedział już był bowiem o obietnicy danej królowi Tunisu przez dziada Wilhelma. Jednakże słowa umiłowanej księżniczki i siła miłości o wszystkim zapomnieć mu kazały. Nie chcąc za tchórza uchodzić, udał się do Mesyny i kazał tam co rychlej dwie letkie<sup>89</sup> galery uzbroić. Osadziwszy na nich dzielną załogę, jął<sup>90</sup> krążyć koło brzegów Sardynii, czekając na okręt księżniczki. Wkrótce korab ukazał się jego oczom. Słabym wiatrem gnany, zbliżył się do miejsca, gdzie nań Gerbino czatował. Ów, dostrzegłszy okręt, rzekł do swych towarzyszków:

— Jeśli tak dzielnymi ludźmi jesteście, za jakich was poczytuję, to ani chybi nie znajdzie się między wami nikt, kto by potęgi miłości nie był świadom, bowiem, wedle mego zdania, żaden śmiertelnik bez pomocy miłości niczego wielkiego ani dobrego dokonać nie może. Jeśli zaś sami miłujecie lub miłowaliście, bez trudności mnie pojmiecie. Miłuję i miłość na to śmiało przedsięwzięcie ważyć mi się każe. Umiłowana moja znajduje się na okręcie pełnym niezliczonych bogactw, który tu widzicie przed sobą. Jeśli na męstwie wam nie zbywa, napadniemy nań śmiało i wkrótce nim owdadniemy. Nie trza mi żadnego

<sup>87</sup>respons (z łac., daw.) — odpowiedź. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>nie mieszkając (daw.) — nie zwlekając, nie tracąc czasu. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>letki (daw., gw.) — lekkie. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>jął (daw.) — zaczął. [przypis edytorski]

lupu, krom<sup>91</sup> dziewczki, dla której za broń chwycić musiałem. Wszystko inne dla was przeznaczam. Uderzajmy zatem śmiało! Sam Bóg widocznie zamiarom naszym sprzyja, bo oto wiatr dąć przestał i okręt uciec od nas nie może.

Słowa Gerbina zbytecznymi były, bowiem Mesyńczycy, gorząc pragnieniem zdobyczy, do walki gotowi byli i w duchu dokonali już tego, do czego wódz ich zachęcał. Gdy książę umilkł, wraz na jego galerach rozległy się gromkie, wojenne okrzyki, a potem i trąby zagrzmiały. Załoga porwała się do broni i zwróciła galery w kierunku okrętu. Ludzie, księżniczce towarzyszący, widząc nadpływające galery, jęli przygotowywać się do obrony, ponieważ o ucieczce i tak mowy być nie mogło. Zbliżywszy się do okrętu, Gerbino gromkim głosem zawołał, aby dowódcy załogi przeszli na pokład galer, jeśli bitwy chcą uniknąć. Saraceni, dowiedziawszy się, kim są przeciwnicy i czego żądają, odparli, że napaść na okręt jest złamaniem słowa danego im przez króla Wilhelma. Na dowód pokazali rękawicę. W końcu dowódcy saraceńskiego korabia oznajmili, że nie poddadzą się bez walki, a także niczego ze statku nie wydadzą. Tymczasem Gerbino spostrzegł księżniczkę na tyle statku. Znalazł ją tysiąc razy piękniejszą od tej, jaką sobie w wyobraźni swej malował. Widok jej wzmógł jeszcze jego namiętność. Ukazawszy rękawicę rzekł, że nie masz tu sokołów, więc i rękawic nie potrzeba, i że jeśli Saraceni księżniczki oddać nie chcą, niechaj do boju się gotują. Wkrótce z korabia i galer posypały się kamienie i strzały. Bój trwał długo, wyrządzając wielkie straty walczącym. Gerbino, przekonawszy się, że walcząc w ten sposób zamierzonego celu nie osiągnie, innego środka się chwycił, a mianowicie kazał zażec szalupę, zabraną przez jego towarzyszków z Sardynii. Gdy łódź w ogniu stanęła, galery zagnały ją pod nieprzyjacielski okręt. W tej chwili Saraceni pojęli, że nic im już nie pozostaje, tylko poddać się albo umrzeć. Wyprowadzili więc na pokład płaczącą w kajucie księżniczkę, wywiedli ją na dziób statku, zawołali na Gerbina i w jego oczach zabili nieszczęsną młodkę, błagając ich o zmiłowanie i wzywając pomocy. Potem rzucili trupa do morza z okrzykiem:

— Bierz ją taką, jaką dać ci możemy i na jaką zasługujesz, słowo swoje uczciwie zdzierżysz.

Na widok tego okrucieństwa Gerbino także jakby umrzeć zapragnął. Nie dbając na pociski i strzały, podpłynął pod nieprzyjacielski okręt i rzucił się w tłum Saraceniów, na liczbę nie bacząc. Podobien był do rozjuszzonego lwa, który wpadłszy w środek stada, pazurami i zębami rwie wszystko, co na drodze napotka, raczej aby swoją wściekłość zaspokoić niż głód nasycić. Siekąc mieczem na wszystkie strony, Gerbino mnóstwo nieprzyjaciół trupem położył. Tymczasem ogień coraz bardziej okręt obejmował. Nieszczęsny młodzian pozwolił swojej załodze zabrać, co się dało, by ją zaspokoić, sam zaś<sup>92</sup> na galerę powrócił. Zwycięstwo nie radowało go wcale. Kazał wydobyć z morza ciało księżniczki i długo gorzkimi łzami nad nim płakał. Powracając na Sycylię z wielką czcią złożył do grobu zwłoki umiłowanej dziewczki na małej wyspie Ustica, naprzeciw Trapani leżącej. Potem, w niewysłowionej rozpaczce pogrążon, do domu swego się udał. Król Tunisu, o smutnym zdarzeniu uznawszy, wyprawił do króla Wilhelma posłów w czarne szaty odzianych. Wysłañcy, opowiedziawszy wszystko, jęli go za złamanie słowa naganiać. Wilhelma zabolalo to srodze. Gdy tuniscy poslowie zażądali sądu, Gerbina uwięzić przykazał. Chocia wszyscy wielmoże i dostojnicy prosili króla, aby księciu przebaczył, sam skazał go na śmierć i w przytomności<sup>93</sup> swojej kazał ściąć głowę młodzieńcowi. Wołał jedynego wnuka utracić niżli jako wiarołomny władca zasłynąć. Oto jak para nieszczęsnych kochanków, nie zakosztowawszy nawet owoców miłości, w niewielu dniach nędną i gwałtowną śmiercią zesła z tego świata”.

## OPOWIEŚĆ PIĄTA. LISABETTA Z MESYNY

*Bracia Lisabetty zabijają jej kochanka. Umarły ukazuje się jej we śnie i mówi, gdzie pogrzebiona została. Lisabetta po kryjomu odcina trupowi głowę i wkłada ją do wazonu, w którym krzew*

<sup>91</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>w przytomności (daw.) — w obecności. [przypis edytorski]

*kwietny zasadza. Każdego dnia płacze nad kwiatem nieutulonymi łzami. Bracia Lisabetty odbierają jej krzew, a wówczas nieszczęśliwa kochanka rychło umiera.*

Obdarzywszy nowelę Elizy niejaką pochwałą, król Filomenie opowiadać przykazał. Ta, serdecznym współczuciem dla nieszczęsnego Gerbina i jego umiłowanej dziewczeczki przenikniona, z głębokim westchnieniem rzekła:

— Mile towarzyski! Nie będę mówiła o tak znacznych i dostojnych osobach, jak bohaterowie Elizy. Mimo to jednak opowieść moja nie mniej wzruszająca będzie. Przypomniałam ją sobie, gdy rzecz szła o Mesynie, gdzie zdarzyło się to, o czym opowiedzieć zamierzam.

„W Mesynie tedy<sup>94</sup> żyli trzej bracia, młodzi kupcy. Po śmierci swego ojca, który z San Gimignano pochodził, wielkie dziedzictwo otrzymali. Młodzieńcy mieli jedną siostrę Lisabettę. Mimo że staranne wychowanie otrzymała i niezwykłą urodą celowała, bracia za mąż jej z niewiadomych przyczyn nie wydawali. W jednym z kantorów, do trzech kupców należących, służył młody Pizańczyk, imieniem Lorenzo, który z wielką zręcznością sprawy ich prowadził. Lorenzo był urodziwym i układnym młodzieńcem. Lisabetta, często go widująca, poczęła w nim dziwne znajdować upodobanie. Lorenzo, spostrzegłszy to, odszedł od tych białogłów, do których przedtem upodobanie żywił, i całą duszą swoją młodej dziewczeczce się oddał. Miłując się wzajemnie gorąco, gdy upewnili się o tym, wkrótce zbliżyli się do siebie i uniesieniem miłości folgować jęli. Niestety, pośród swej szczęśliwości nie umieli ostrożności zachować. Pewnej nocy, gdy Lisabetta do komnaty swego kochanka się zakradała, spostrzegł ją jej starszy brat, przez nią niezauważony. Aczkolwiek osłupiał na ten widok, przecie jako młodzieniec roztropny wielce, nie rzekł ani słowa i z miejsca swego się nie ruszył. Myślał następnie o tym długo, a gdy dzień nastał, przywołał swoich braci i opowiedział im o wszystkim, co tej nocy widział. Młodzieńcy, nie chcąc dobrej sławy swej siostry ani własnej na szwank przywodzić, po naradzie postanowili milczeć i udawać do czasu, że o niczym nie wiedzą. Bracia mniemali, że w ten sposób postępując doczekają się wreszcie sposobnego momentu, w którym, niepotrzebnego rozgwaru nie czyniąc i osławy sobie nie przyczyniając, sromotnym związkom swej siostry położą tamę, nim jeszcze one groźne skutki za sobą pociągną. Wierni temu postanowieniu, gawędzili i żartowali z Lorenzem, jak to uprzednio w obyczaju czynić mieli. Pewnego dnia pod pokrywką przechadzki wyprowadzili młodzieńca daleko za miasto i zawiedli go w miejsce odosobnione. Lorenzo, nic nie podejrzewając, nie obawiał się swoich towarzyszy. Tam kupcy zamordowali go i w tajemnicy pogrzebali jego ciało. Powróciwszy zasię do Mesyny, rozcłosili, że Lorenzo wysłany został przez nich w świat dla załatwienia różnych pilnych spraw. Nikogo to nie zdziwiło, wiadomo było bowiem wszystkim, że Lorenzo nieraz podobne poruczenia otrzymywał. Długa nieobecność kochanka zaniepokoiła wreszcie Lisabettę tak, iż tym zgnębiona, często i natarczywie swych braci dopytywać się jęła<sup>95</sup>, kiedy Lorenzo do Mesyny powróci. Wreszcie jeden z braci rzekł:

— Co to ma znaczyć? Dlaczego tak często o Lorenza się pytasz? Jeśli raz jeszcze podobne pytanie zadasz, odpowiemy ci tak, jak na to zasługujesz.

Młoda dziewczeczka, strapiona nad miarę, pełna niepewności, już się o nic pytać nie śmiała, jeno<sup>96</sup> w czasie bezsennych nocy nieraz Lorenza przywoływała: błagała go, aby nie mieszkając<sup>97</sup> przybywał, i płacząc rzewnie, na jego długą nieobecność się skarżyła, ciągle oczekując go i w niczym nie znajdując radości. Pewnego razu, gdy znużona wśród łez zasnęła, stanął przed nią Lorenzo, śmiertelnie na obliczu błady, w porwanych i okrwawionych szatach, Zdawało jej się, że kochanek tak do niej przemawia: »Ach, Lisabetto, przywołujesz mnie nieustannie, trapiąc się długą nieobecnością moją i łzami swymi za nią mnie winiąc! Wiedz, że powrócić nie mogę, bowiem tego dnia, gdyśmy się po raz ostatni widzieli, bracia twoi mnie zamordowali.«

Po czym, objaśnwszy, w jakim miejscu ciało jego spoczywa, poprosił ją, aby już dłużej nie wzywała go ani na niego nie czekała, i zniknął. Lisabetta ocknęła się i gorzkimi łzami się zalała, albowiem uwierzyła w swe senne przywidzenie. Nazajutrz rano, nie rzekłszy

Kochanek, Duch, Sen,  
Grób, Łzy, Rośliny, Trup

<sup>94</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>jęć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>nie mieszkając (daw.) — nie zwlekając, nie tracąc czasu. [przypis edytorski]

ni słowa braciom, postanowiła na wskazane miejsce się udać dla przekonania się, czy to, co we śnie widziała, prawdą było. Uzyskawszy tedy<sup>98</sup> od braci pozwolenie na odbycie przechadzki za miasto, wybrała się w drogę w towarzystwie pewnej dziewczyny, która, służąc od dawna w ich domu, wszystkie jej tajemnice знаła. Stanąwszy u celu, usunęła suche, opadłe liście i jęła kopać tam, gdzie ziemia mniej twardą jej się wydawała. Nie mozoląc się długo, wkrótce odkryła nietknięte jeszcze zepsuciem ciało swego kochanka. Wówczas poznała dowodnie prawdziwość snu swego.

Straszna rozpacz Lisabettą owładła, aliści<sup>99</sup> nie chciała ona teraz dać folgi<sup>100</sup> łzom swoim. Chętnie byłaby całe ciało z sobą zabrała, aby je godnie pogrzebać, ale ponieważ niemożliwą rzeczą to było, odcięła tylko nożem, jak mogła, głowę od tułowia. Potem głowę, w chustkę zawiniętą, oddała swej towarzysze i resztę szczątków na nowo ziemią pokrywszy, przez nikogo niespostrzeżona do domu powróciła. Lisabetta zaniósła głowę kochanka do swojej komnaty, zaparła<sup>101</sup> drzwi i tyle łez wylała, że obmyła nimi martwe lico. Potem, obsypawszy głowę mnóstwem pocałunków, wzięła piękny wazon, z rodzaju tych, w których zwykle majeranek lub wasilki hodują, włożyła weń głowę Lorenza, w najprzedniejsze płótno zawiniętą, przysypała ją ziemią i zasadziła nad nią krzew salerneńskiego wasilka. Podlewała zaś tę roślinę wodą pomarańczową, wodą różaną lub własnymi łzami. Siadywała przy tym obok wazonu, zawierającego cząstkę jej ukochanego, i pełna niezmiernego smutku, nie spuszczała z niego oczu. Po kilku godzinach takiego wpatrywania się, pochylała się nad krzewem i długo, długo płakała, tak iż cała roślina łzami jej się zraszała. Dzięki troskliwej pieczy, a także i przez żyzność ziemi pokrywającej głowę umarłego, roślina owa nie tylko wyrosła niepomiernie, ale i nieporównaną woń rozsiewała.

Zachody te obaczyli niebawem po wiele razy sąsiedzi i donieśli o tym braciom Lisabetty, którzy już spostrzegli, że jej uroda marnieje, a oczy gasną. Bracia Lisabetty przekonali się wkrótce, że sąsiedzi prawdę mówili, i jęli strofować siostrę za jej postępowanie. Gdy słowa skutku nie odniosły, potajemnie wazon jej odebrali. Lisabetta, nie znalazłszy go na właściwym miejscu, długo i uparcie o niego się dopominała. Gdy zaś prośby jej i nalegania bez skutku pozostawały, wśród skarg i jęków w ciężką niemoc popadła, nawet w ciągu choroby nie przestając domagać się zwrotu rośliny. Młodzieńcy, prośbami tymi zadziwieni, wpadli na myśl, aby przekonać się, co w tym naczyniu zawierać się może. Wysypawszy ziemię, znaleźli chustkę, a w niej głowę, nie całkiem jeszcze zepsuciem strawioną, tak iż po kędzierzawych włosach rozpoznać można było, że kiedyś do Lorenza należała. Zdumieni i srodze zatrwożeni, że zbrodnia ich na jaw wyjść może, pogrzebawszy głowę, nic nikomu nie powiadając, po kryjomu wzięli z sobą wszystko, co posiadali, i z Mesyny do Neapolu się przenieśli.

Dzieweczka zasię<sup>102</sup> ciągle po dawnemu płakała i o swój wazon się dopominała, aż wreszcie wśród łez umarła. Tak skończyła się jej miłość nieszczęsna. Z czasem zdarzenie to powszechnie wiadome się stało. Ułożono nawet pieśń o nim, którą do tych pór jeszcze się śpiewa:

Jakiż to zły chrześcijanin  
Skradł mi ulubiony wazon...”.

## OPOWIEŚĆ SZÓSTA. DWA SNY

*Andreola miłuje Gabriotta. Pewnego dnia opowiada mu, jaki sen miała. Z kolei Gabriotto sen swój jej powtarza, a potem nagle umiera w objęciach kochanki swojej. Andreola pospołu z swoją służką chce zanieść ciało Gabriotta na próg jego domu, aliści zatrzymują ją strażnicy podesty. Andreola opowiada szczerze o wszystkim. Podesta chce gwałt jej zadać; Andreola broni się ze*

<sup>98</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>dać folgę — pozwolić (sobie) na coś. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>zaprzeć a. zaurzeć (daw.) — zamknąć. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

*wszystkich sił swoich. Rodzic jej, widząc, że winną nie jest, oswobadza ją, a wówczas Andreola porzuca świat i do klasztoru wstępuje.*

Nowela Filomeny wielce damom do smaku przypadła. Nieraz słyszały ona piosenkę, o której Filomena wspominała, aliści<sup>103</sup> nigdy dowiedzieć się nie mogły, do jakiego zdarzenia ona się odnosi. Król z kolei dał zaraz znak Panfilowi; wówczas ten zaczął w te słowa:

— Wspomniany w poprzedniej opowieści sen przypomina mi historię, w której rzecz idzie o dwóch sennych zjawach. W noweli Filomeny sen odkrył tajemię tego, co już się stało, w tej historii zaśię, którą wam teraz chcę opowiedzieć, sny przyszłość przepowiedziały, a przepowiednie te spełniły się, zaledwie ludzie o nich mówiący zamilknąć zdołali. Wiadomo wam niewątpliwie, piękne damy, że gdy człowiek śpi, zjawa senna rzeczywistością mu się wydawa. Po ocknięciu się uznaje jednak, że niektóre tylko z tych rzeczy były prawdą, drugie zaśię niejakię prawdopodobieństwo w sobie miały, co się zaś trzecich tyczy, to za całkiem fałszywe je poczytuje. Tymczasem wiele ze snów później się sprawdza; istnieje też mnóstwo ludzi, którzy wierzą w każdy sen nie mniej, jak w to, co widzą na jawie. Tacy ludzie pod wpływem zjaw sennych radują się lub trapią, zależnie od tego, czy sen nadzieją, czy też trwogą ich napawa. Są zaśię i tacy, co zgoła nijakiej uwagi na sny nie zwracają, aż do czasu gdy ich spotka nieszczęście, którego wróżba w widzeniu sennym się zawierała. Ani jednych, ani drugich chwalić nie zamierzam, jeżeli bowiem nie wszystkie sny są prawdziwe, to także rzecz nie lza<sup>104</sup>, aby wszystkie fałszywymi były. Że nie wszystkie sny się sprawdzają, każdy z własnej eksperiencji<sup>105</sup> przekonać się może. Z noweli Filomeny poznaliśmy zaśię, że niektóre ziszczać się mogą, co teraz, jak wspomniałem, w mojej opowieści potwierdzić pragnę. Jeśli człek uczciwy żywot wiedzie, żaden przeciwny sen od dobrych przedsięwzięć nie powinien go odstrychnąć ani trwogą napełniać. Równie, gdy sen triumf złego przedstawia i do niego zachęca, powodzenie obiecywać się zdając, wierzyć mu nie należy, w przeciwnym jednak wypadku wszystkim zaufać się godzi. Przystąpmy jednak do naszej powieści.

„W mieście Brescji żył ongiś pewien szlachcic, Negro da Ponte Carraro zwany, który prócz innych dzieci posiadał córkę Andreolę, młodą, urodziwą i niezamężną jeszcze dziewczeczkę. Młódka ta zakochała się w jednym z sąsiadów, nazwiskiem Gabriotto, człeku niskiej kondycji, ale miłym i pięknym, a odznaczającym się wieloma najszlachetniejszymi przymiotami. Dzięki jednej z służebnic swoich zdołała Andreola nie tylko uwiadomić Gabriotta o afekcie swoim, ale i sprowadzić go wielokroć do pięknego ogrodu swego ojca, ku wielkiej obojga przyjemności. Ażeby zaś żadna moc, krom<sup>106</sup> śmierci, rozdzielić ich nie mogła, kochankowie tajemnym ślubem z sobą się połączyli. Czas schodził; młodzi ludzie często widywali się z sobą, skrywając miłość swą przed światem. Pewnej nocy zdało się Andreoli we śnie, że Gabriotto jest razem z nią w ogrodzie i w ramionach swych ją trzyma. Czuli rozkosz wzajemnego uścisku. Nagle spostrzegła, że z ciała kochanka wypełza jakaś czarna i potworna istota, której kształtu dobrze rozeznacć nie mogła. Mroczna zjawa ośwładła<sup>107</sup> Gabriottem i mimo oporu Andreoli, z straszną siłą z ramion jej go wydarła, a potem znikła z nim pospołu pod ziemią. Andreola poczuła, że już nigdy kochanka swego nie ujrzy. Widok ten przejął ją taką rozpaczą i strachem, że aż się ze snu ocknęła. Przyszedłszy do siebie, ucieszyła się, że to wszystko złudzeniem tylko było; wszelakoż nie mogła się uwolnić od dziwnego przecucia i trwogi. Dlatego też, gdy Gabriotto oznajmił jej, że ją następnej nocy odwiedzi, nakłaniała go z wszystkich sił do pozostania w domu. Jednakoż widząc, że młodzian gorąco pragnie obaczyć się z nią, i obawiając się, aby jakieś niesprawiedliwe podejrzenie w nim się nie obudziło, przystała na prośbę kochanka i nocą w ogrodzie go przyjęła. Andreola nazrywała mnóstwo białych i czerwonych róż (które właśnie w rozkwicie były) i usiadła wraz z Gabriottem opodal pięknej fontanny, tryskającej świeżą wodą. Po dłuższym czasie wśród najtkliwszych pieszczot spytał Gabriotto, dlaczego z początku sprzeciwiała się jego przyjsciu do sadu. Wówczas młódka

Sen, Śmierć, Przecucie

<sup>103</sup> aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>104</sup> nie lza (daw.) — nie można, nie wolno. [przypis edytorski]

<sup>105</sup> eksperiencia (daw.) — doświadczenie. [przypis edytorski]

<sup>106</sup> krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>107</sup> ośwładła — dziś popr.: ośwładnęła. [przypis edytorski]



opowiedziała mu wszystko: swój sen ubiegłej nocy i złe przeczucie. Gabriotto zaśmiał się i rzekł, że jest wielką niedorzecznością wierzyć w sny, pochodzą one bowiem ze zbytku lub niedostatku pokarmu i złudnymi się okazują, o czym codziennie się przeświadczać można.

— Gdybym w sny wierzył, nie przyszedłbym dziś tutaj, nie tyle z obawy przed twoim widzeniem sennym, ile na skutek mych własnych snów, jakie również ostatniej nocy miałem. Zdawało mi się, że znalazłem się w pięknym lesie, gdzie polując schwytałem niewypowiedzianie wdzięczną i białą jak śnieg sarnę. Sarna ta w tak krótkim czasie oswoiła się ze mną, że ani na krok ode mnie nie odstępowała. Mimo to tak się obawiałem, aby to miłe zwierzątko mi nie uciekło, że włożyłem mu na szyję złotą obręcz, przytwierdzoną do łańcucha, który w rękę trzymałem. Gdy sarenka legła na trawie, złożywszy mi łeb na kolana, nagle, nie wiedzieć skąd, zjawiała się przede mną czarna jak węgiel, głodna i straszna charcica, która rzuciła się na mnie. Zdało mi się, że się przed nią wcale nie bronię; ona zasię chwyciła mnie zębami za lewy bok i tak się wżarła weń, że aż mi do serca dotarła, aby wyrwać mi je z piersi i unieść z sobą. Tak wielki ból poczułem, że, ocknąwszy się ze snu, schwyciłem się ręką za bok, aby przekonać się, czy rany tam nie mam. Nie znalazłszy jednak nic, śmiać się począłem z siebie, że po zdrowym się macałem boku. Cóż by to jednak znaczyć miało? Podobne, a nawet o wiele straszniejsze sny już nieraz miewałem, a przecie nic się ze mną złego nie stało. Dlatego też przestańmy myśleć o zjawach sennych i cieszymy się swoim szczęściem.

Andreola, już swoim snem przerażona, teraz jeszcze bardziej lękać się poczęła, aliści<sup>108</sup>, nie chcąc Gabriotta niepokoić, skrywała swą trwożę, jak mogła. Obejmowała i całowała swego kochanka i on nawzajem ją obejmował, jednakże lęk jej nie mijał. Obawiała się nie wiedzieć czego i częściej niż zwyczajnie, wpatrywała się w twarz Gabriotta lub też byстрыm spojrzeniem obrzucała ogród, aby przekonać się, czy jakiej czarnej stwory nie zobaczy. Naraz Gabriotto westchnął, przycisnął umiłowaną swą do piersi i zawołał:

— Ratuj mnie, najdroższa moja, umieram!

Rzekłszy te słowa, zsunął się bezsilnie na trawę. Przeważona Andreola podniosła swego kochanka, położyła jego głowę na swoje kolana i rzekła ze łzami w oczach:

— Na miłosierdzie boskie, co ci jest, mój mężu ukochany?

Gabriotto nic nie odpowiedział, tylko dyszał ciężko, okrył się śmiertelnym potem i po chwili skonał. Jaką boleścią i rozpaczą śmierć jego przejąć musiała młodą Andreolę, miłującą go nad życie, łatwo sobie to wystawić można. Długo, długo płakała nad nim, wołając go na próżno po imieniu. Dotknąwszy jego ciała, przekonała się, że już ostygło; wówczas pojęła, że jej kochanek już się nigdy nie ocknie. Nie wiedząc, co począć i jak się zachować, z oczyma łez pełnymi pobiegła do służki, powiernicy swej miłości, i opowiedziała jej o strasznym nieszczęściu. Obydwie zrosiły jeszcze raz łzami martwe oblicze Gabriotta, po czym Andreola rzekła:

— Skoro Bóg mi go zabrał i ja dłużej żyć już nie myślę. Zanim się jednak zabiję, pragnę przy pomocy twojej znaleźć stosowny środek, aby bez szwanku dla czci mojej i bez zdradzenia tajemnicy naszej miłości móc pochować to ciało, przez najdroższą mi duszę opuszczone.

— Nie myśl o odebraniu sobie życia, dziecię moje — odparła służka — bo zabijając się, utracisz go w tamtym życiu, tak jak go tu już utraciłaś. Gdy rękę na siebie podniesiesz, pójdziesz do piekła, ja zaś przekonana jestem, że dusza tego dobrego młodzieńca na wieczne męki skazana być nie może. Staraj się uspokoić, staraj się modlitwami i dobrymi uczynkami jego duszy do zbawienia dopomóc, bo może dla grzechów swoich tego potrzebuje. Pogrzebać jego ciało możemy zaraz tutaj w ogrodzie. Nikt o tym nie uzna<sup>109</sup>, bowiem nikt nie wiedział, że Gabriotto tutaj przychodził. Jeżeli nie zgodzisz się na to, wyniesiemy trupa z ogrodu i położymy go pod murem. Rankiem przechodnie, znalazłszy zwłoki, odniosą je do domu, a krewniacy zajmą się pogrzebem.

Mimo gwałtowności bólu swego i łez nieutulonych, wysłuchiwała jednak dama słów swej służebnicy i tak odparła, nie mogąc przystać na jej rady:

<sup>108</sup> aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>109</sup> uznać — tu: dowiedzieć się. [przypis edytorski]

— Niechaj mnie Bóg broni, abym mego najdroższego kochanka i męża jak psa porzebać lub na ulicę wyrzucić miała. Wiele łez nad nim przelawszy, uczynię wszystko, aby krewniacy równie go oplakiwać mogli. Umyśliłam już, co nam uczynić należy.

Rzekłszy to, kazała przynieść służce z domu sztukę jedwabnej materii. Gdy służka powróciła, Andreola materię na ziemi rozesała, położyła na nią ciało Gabriotta i oparła jego głowę na poduszce. Potem, mnóstwo rzewliwych łez wylewając, zamknęła mu oczy i usta, splotła girlandę z róż i całe ciało umarłego kwiatami zasypała. Po chwili tak do służki rzekła:

— Do drzwi jego domu stąd niedaleko. Weźmy go obydwie na ręce, tak jak przyodziany, i połóżmy go przed progiem. Wkrótce dzień nastanie, i krewniacy ciało znajdą. Wprawdzie cały nasz ten zachód wiele ulgi rodzinie zmarłego nie sprawi, jednak nieco lżej będzie na sercu mnie, w której objęciach skonał.

Z tymi słowami rzuciła się raz jeszcze na martwe ciało i gorzko płakać jęła<sup>110</sup>. Służka parę razy przypominała swej pani, że świt jest już bliski. Wreszcie Andreola podniosła się. Zdjąwszy z palca pierścień, którym się Gabriotto z nią zareczył, włożyła mu go na palec i rzekła:

— Drogi mój małżonku, o ile dusza twoja widzi teraz łzy moje, to jeśli ciało twoje niczego nawet uczuć nie jest zdolne, przyjm łaskawie ten ostatni dar swojej żony, którą tak tkliwie za życia kochałeś.

Z tymi słowami w omdleniu na zwłoki upadła. Gdy zaś do utraconych zmysłów z powrotem przyszła, podniosła wraz z służebnicą materię, na której zwłoki leżały. Białogłowy wyszły z ogrodu i skierowały się do domu Gabriotta. Na nieszczęście spotkali je strażnicy podesty<sup>111</sup>, wezwani gdzieś przypadkiem o tej porze, i zaraz je ze zwłokami pochwycili. Andreola, która bardziej niż życia śmierci pragnęła, poznawszy straż śmiało i otwarcie rzekła:

— Wiem dobrze, kim jesteście, i to także wiem, że ucieczką się nie ocale. Gotowa jestem pójść z wami do podesty i opowiedzieć mu o wszystkim. Niechaj tylko żaden z was nie waży dotknąć się mnie ani tego ciała, bowiem z wolnej, nieprzymuszonej woli z wami idę. W przeciwnym razie przed podestą oskarżyć was będę musiała.

Nikt też nie śmiał tknąć Andreoli i ciała jej męża. Wkrótce też wraz ze zwłokami znalazła się w pałacu podesty. Podesta, usłyszawszy o całym zdarzeniu, przystąpił do badania Andreoli, a potem kazał doktorom obejrzeć zwłoki i wydać sąd, zali<sup>112</sup> nieszczęsny Gabriotto nie został otruty lub innym jakim sposobem ze świata zgładzony. Medycy jednogłośnie oznajmili, że o zabójstwie mowy być tu nie może, Gabriotto zmarł bowiem na skutek pęknięcia żyły koło serca. Podesta pojął, że Andreola w drobnej tylko mierze zawiniła, jednakże uczynił pozór, że śmierć jej i życie od niego jedynie zależą. Rzekł tedy<sup>113</sup> urodziwej młódce, że ją uwolni, jeśli jego woli uległa być zechce. Gdy jednak słowami niczego wymóc nie mógł, chciał jej gwałt zadać, aliści<sup>114</sup> rozpacz dodała dziewczęce sił niezwykłych. Broniła się mężnie, wreszcie szyderczymi i dumnymi słowy udało się jej podestę od niewczesnych zalotów powstrzymać. Gdy nastąpił dzień, Negro dowiedział się o smutnych zdarzeniach. Z rozpaczą w sercu udał się do pałacu podesty pospołu z licznymi przyjaciółmi swymi. Podesta opowiedział mu o wszystkim; wówczas zrozpaczony rodzic prosił go, aby mu córkę oddał. Podesta, chcąc uprzędzić oskarżenie Andreoli, sam się przyznał, że na cześć jej dybał, i wytłumaczył to tym, że chciał jej cnotę na próbę wystawić. Chwalił wielce jej niezłomność, po czym przydał, że szlachetny jej opór wzbudził w nim najgorętszą do niej miłość, tak iż za żonę pojąć ją gotów, jeżeli zgodę ojca i jej samej uzyska, mimo że pierwszym jej mężem był człek podlej kondycji. Gdy Negro i podesta tą rozmową zabawieni byli, weszła Andreola, padła przed ojcem na kolana i rzekła:

— Sądzę, mój ojcze, że zbyt dużą rzeczą by było opowiadać ci o mojej nieroztropności i nieszczęściu, jakie na mnie spadło. Pewna jestem, że o tym już się dowiedziałeś.

<sup>110</sup>jęć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>podesta — w średniowiecznych włoskich miastach najwyższy urzędnik o uprawnieniach sądowniczych i wojskowych. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>zali (daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

Proszę cię tedy pokornie i najgoręcej o przebaczenie mi winy, która na tym się zasadza, że bez wiedzy twojej wzięłam sobie za męża umiłowanego przeze mnie człeka. Proszę cię o przebaczenie nie dlatego, aby się od śmierci uchronić, lecz dla tej przyczyny, że chcę umrzeć jako twoja córka, a nie jak twój wróg.

Negro był już sędziwym człowiekiem o dobrotliwym i łagodnym przyrodzeniu<sup>115</sup>. Wysłuchawszy słów swojej córki, rozplakał się, podniósł ją czule z ziemi i rzekł:

— Moja córko, zaiste milej by mi było, gdyby twoim mężem stał się człek bardziej, według mego pojęcia, ciebie godny. Jednocześnie z drugiej strony każdy twój wybraniec i mnie do serca przypaść by musiał. To więc tylko mnie bólem przejmuję, że, małą ufność dla mnie mając, wszystko skrywałaś przede mną. A bardziej jeszcze boleję, że utraciłaś męża, zanim się o wszystkim dowiedziałem. Aliści tego, co się stało, odrobić nie lza<sup>116</sup>. Nic mi teraz innego uczynić nie pozostaje, jak oddać martwemu tę cześć, której bym mu nie poskąpił, gdyby jeszcze był przy życiu. Dlatego też odniosę się do zmarłego jak do mego zięcia.

Co rzekłszy obrócił się do dzieci swoich i krewnych i polecił im, aby przygotowali wszystko do uroczystego pogrzebu Gabriotta. Tymczasem krewniacy zmarłego, o wszystkim uwiadomieni, przybyli do pałacu podesty, gdzie zebrano także z miasta mnóstwo białogłów i mężczyzn. Ciało Gabriotta, obsypane przez Andreolę kwiatami, leżało na podwórku na jedwabnej materii. Nie tylko krewniacy, ale prawie wszyscy mieszkańcy Brescji młodzieńca oplakiwali. Pochowano Gabriotta nie jak człeka niskiego rodu, lecz jak dostojnika. Mieszczanie najprzedniejsi z podwórza ratusza odnieśli ciało na swych barkach do samego grobu.

Po pewnym czasie podesta znów poprosił Andreolę o jej rękę. Negro pomówił z córką, aliści młódka nawet słyszeć o tym nie chciała. Rodzic nie niewolił jej; wkrótce też Andreola pospołu z swą wierną służką wstąpiła do klasztoru słynącego z świętobliwości. Tam długo jeszcze cnotliwy żywot pędziły”.

## OPOWIEŚĆ SIÓDMA. DOWÓD NIEWINNOŚCI

*Simona miłuje Pasquina. W czasie przechadzki po ogrodzie Pasquino pociera sobie zęby liściem szalwii i umiera. Simona, uwięziona, pragnąc pokazać sędziemu, jak kochanek jej zginął, tymi samymi liśćmi naciera sobie zęby i także umiera.*

Król, zgoła współczucia Andreoli nie okazawszy, gdy tylko Panfilo opowiadanie skończył, dał znak Emilii, że byłoby mu miło, gdyby teraz ona z kolei głos zabrała. Emilia natychmiast w te słowa zaczęła:

— Mile towarzyski! Nowela Panfila nasunęła mi na pamięć historię, w tym tylko do słyszanej przed chwilą podobną, że tam i tutaj zakochana dziewczeczka straciła swego kochanka, gdy pospołu z nim w ogrodzie bawiła. Gdy ją pochwycili, podobnie o dokonanie mordu podejrzana, nie siłą i nie własną niewinnością od sądu się obroniła, lecz nieoczekiwaną śmiercią. Mówiliśmy już, że Amor, jakkolwiek chętnie mieszkańców pałaców odwiedza, nie gardzi przecie także lepiankami ubogich, którzy równie drżą przed jego przemożną władzą jak i znaczni panowie. Wszystko to, jeśli nie całkowicie, to przynajmniej w części w opowieści mojej pokażę; przystępując do niej, powracam chętnie do naszego ojczystego grodu. Oddaliliśmy się dziś odeń daleko, wędrując w naszych tak różnorodnych opowieściach prawie po wszystkich częściach świata.

„Niedawno temu we Florencji żyła młoda dziewczyna, córka biednego człeka, urodziwsza i miłsza, niżliby tego spodziewać się było można po jej pomiernym stanie sądząc. Zwali ją Simoną. Musiała pracą rąk własnych na chleb zarabiać, a mianowicie przedzeniem wełny. Bieda nie zdołała jednak przytłumić w jej sercu wielkiej zdolności kochania. Amor oświadczył jej myślimi, gdy padł na nią wzrok i posłyszała słowa młodego człeka, równego jej swą kondycją. Młodzieniec ten zajmował się z rozkazu mistrza swego rozdawaniem wełny do przedzenia, miał zatem możliwość pokazania jej, że afekt do niej żywi. Dzieweczka, której w serce zapadł obraz umiłowanego młodzieńca, zwanego Pasquinem,

<sup>115</sup>przyrodzenie (daw.) — tu: natura. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>nie lza (daw.) — nie można, nie wolno. [przypis edytorski]

pragnęła, ale nie śmiała wyznać ukochanemu miłości swojej, mimo że płomienie dusz jej trawiły. Siedząc nad robotą, wzdychała ciężko nad każdym pasmem i każdą nicią nawijaną na kołowrotek, bowiem nieustannie myślała o młodzieńcu, który jej osnowę przynosił. Pasquino zaś, dbając szczególnie o pożytki właściciela i pragnąc, by miał on wełnę najlepszego przędzenia, nade wszystko baczył na Simonę, jakby tylko z tej przędzy, którą ona przędła, a nie z żadnej innej, całe sukno miało być utkane.

Tak tedy<sup>117</sup> Pasquino szukał miłości, Simona zaś niczego równie nie pragnęła jak tego, aby on tę jej miłość zdobywał. Z biegiem czasu kochanek coraz śmielszy się stawał, Simona wyzbywała się swej wstydlivości i trwogi; aż wreszcie oboje bez podziału sobie się oddali. Tak wzajemnym swym szczęściem oczarowani byli, że nie czekając jedno na wezwanie drugiego, jakby jednym duchem ożywieni, naprzeciw siebie wychodzili. Miłość ich z dnia na dzień rosła i coraz gorętszą się stawała. Pewnego dnia Pasquino poprosił Simonę, aby do ogrodu się udała, gdzie, znalazłszy się na swobodzie, nie budząc podejrzeń, do woli sobą cieszyć się będą mogli. Simona zgodziła się. W niedzielę po obiedzie, powiedziawszy ojcu, że chce iść na odpust do San Galio, wybrała się pospołu z swą przyjaciółką, imieniem Lagina, do ogrodu, gdzie Pasquino na nie czekał. Pasquino przybył na umówione miejsce w towarzystwie swego przyjaciela Puccina, także Strambę zwanego. Puccino zaraz do Laginy zalecać się począł; Simona i Pasquino pozostawili ich w jednym końcu ogrodu, sami zaś w drugim zaszyli się w gęstwinę, aby oddać się lubyim igraszkom. Niedaleko od miejsca, gdzie się zatrzymali, rósł krzew szaławii niezmierniej bujności i wielkości. Kochankowie usiedli obok niego, ciesząc się nieskończonymi pieścizotami i rozmawiając o podwieczorku, który w ogrodzie spożyć zamierzali. Nagle Pasquino pochylił się do krzewu szaławii, zerwał z niego liść i jął<sup>118</sup> nim trzeć zęby oraz dziąsła, powiadając, że szaławia oczyszcza je doskonale od resztek jedzenia. Potem znów o swojej przechadzce rozmawiać jęli. Po chwili Pasquino począł mienić się<sup>119</sup> na obliczu, potem wzrok i mowę utracił, aż wreszcie padł i ducha wyzionął. Simona na ten widok uderzyła w płacz i krzyk i począła zwać na pomoc Strambę i Laginę. Ci zaraz nadbiegłszy, zastali Pasquina nie tylko martwego, ale spuchniętego i czarnymi plamami na całym ciele pokrytego. Wówczas Stramba zawołał do Simony:

— Tyś go, lajdaczko, otruła!

Na ten krzyk zbiegli się wszyscy w pobliżu ogrodu mieszkający. Zobaczywszy wzdęte zwłoki, usłyszawszy oskarżenie Stramby i ujrzawszy Simonę płaczącą z wielkiej boleści nad stratą kochanka i tak nieprzytomną, że bronić się nie potrafiła — uwierzyli, że istotnie Stramba prawdę mówi. Dlatego też pochwycili łkającą ciągle Simonę i do pałacu podesty<sup>120</sup> ją zawiedli. Tutaj na wypródkę Stramba i przyjaciele zmarłego, Atticciato i Malagevole, którzy właśnie przybyli, obwiniać Simonę poczęli, tak iż sędzia niezwłocznie do badania jej przystąpił. Jednakże nie mógł nabrać przeświadczenia, by dziewczeczka dowiodła tu złej woli i winę popelniła, dlatego też, nie dosyć rozumiejąc jej wyjaśnienia, w jej obecności postanowił trupa obejrzyć i na miejscu przestępstwa jeszcze raz szczegółowie<sup>121</sup> o wszystko się wypytać. Rozkazał więc bez zbiegowiska zaprowadzić Simonę do ogrodu, gdzie leżało ciało Pasquina, opuchłe i nabrzmiałe jak beczka. Sędzia, przybywszy tam wkrótce, zadziwił się wielce osobliwym wyglądem zmarłego i spytał, jak się cała rzecz miała. Simona, opowiedziawszy o wszystkich poprzedzających okolicznościach, podeszła do krzewu szaławii, aby jaśniej wszystko sędziemu przedstawić, schyliła się, zerwała liść i jak Pasquino potarła nim usta. W tym czasie Stramba, Atticciato i pozostali przyjaciele Pasquina sztychli z niej i coraz gwałtowniej ponawiając oskarżenie, starali się przekonać sędziego, że wszystkie jej słowa są jeno<sup>122</sup> nikczemnymi a pustymi wykrętami i że należy ją za tę zbrodnię niechybnie na stosie spalić. Nieboraczka z boleści po śmierci kochanka i ze strachu przed kaźnią, jakiej się Stramba domagał, ledwie na nogach utrzymać się

<sup>117</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>jął (daw.) — zaczął. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>mienić się (daw.) — zmieniać się. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>podesta — w średniowiecznych włoskich miastach najwyższy urzędnik o uprawnieniach sędziowskich i wojskowych. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>szczegółowie — dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

mogła. Że zaś i ona potarła sobie zęby szawią, po chwili, ku zdumieniu obecnych, upadła na to samo miejsce, na którym niedawno Pasquino ducha wyzionął.

O dusze szczęśliwe, którym sążone było tego samego dnia żaru miłości doznać i ziemski żywot zakończyć! W dwójnasób szczęśliwe, jeśli nierozłącznie w to samo miejsce dotrzecie i jeśli na tamtym świecie miłość trwa, a miłość wasza dalej trwać będzie! Wedle naszego mniemania — mniemania ludzi, którzy Simonę przeżyli — dusza jej już najwyższej szczęśliwości dostąpiła. Los nie zwolił, aby niewinna dziewczeczka padła ofiarą niecnym oskarżeń Stramby, Atticciata i Malagevola, ludzi z pospólstwa. Szlachetna śmierć, nieróżna od śmierci kochanka, stała się jej usprawiedliwieniem, a dusza jej uleciała śladem duszy umiłowanego Pasquina.

Sędzia, osłupiawszy całkiem na widok martwej Simony, stał długo w milczeniu i nie wiedział, co ma rzec. Przyszedłszy nieco do siebie, odezwał się wreszcie w te słowa:

— Krzew ten, ani chybi, musi posiadać jakieś jadowite własności, chociaż ze szawią tak nie bywa. Aby więc w przyszłości nikomu już szkodzić nie mógł, trzeba go wyrwać z korzeniami i spalić.

Strażnik ogrodowy zaraz, w przytomności<sup>123</sup> sędziego, do wypełnienia jego rozkazu przystąpił. Zaledwie krzew wyrwany został, tajemnica śmierci dwojga nieszczęśliwych jawną się stała: pod rośliną siedziała potwornej wielkości ropucha, której jadowite tchnienie zapewne zatruć krzew musiało. Nikt z obecnych nie śmiał się do żaby przybliżyć. Dlatego też rzucono na nią ogromną wiązkę chrustu i pospołu z szawią ją spalono. Tak nieszczęśliwie zakończył się sąd nad Simoną, obwinioną o zabójstwo biednego Pasquina. Ciało jego pospołu z ciałem Simony, oba opuchłe, przez Strambę, Atticciata, Guccia Imbratta i Malagevole przeniesione zostało do kościoła Świętego Pawła, którego byli parafianami, i tam pogrzebane”.

## OPOWIEŚĆ ÓSMA. OFIARY MIŁOŚCI

*Girolamo miłuje Salwestrę. Spełniając prośbę matki udaje się do Paryża; po powrocie dowiadyuje się, że jego umiłowana za mąż poszła. Girolamo zakrada się do jej domu i umiera w jej przytomności. Do jego zwłok, w kościele leżących, zbliża się Salwestra i także umiera.*

Gdy Emilia skończyła, Neifile na rozkaz króla zaczęła w te słowa:

— Miłe towarzyszki! Zdarzają się ludzie, przypisujący sobie rozum większy od innych, chociaż w istocie bardzo mało go posiadają. Ludzie owi nie tylko ludzkim zamysłem, ale i prawom przyrodzonym ten swój rozum przeciwstawiać śmieją. Z tego już nieraz wielkie nieszczęścia wynikały, a pożytku jeszcze nie było żadnego. Ten, co miłość odczuwa, mniej jest od każdego innego skłonny pójść za radą lub z oporem się pogodzić; raczej sam siebie zgubi, niżli namiętność swoją przemoże. Dlatego też zamyśliłam opowiedzieć wam historię o tym, jak to pewna dama, o swej rzekomej mądrości twardo przekonana, aliści<sup>124</sup> nie wiedząca, jak daleko posunąć się można, zapragnęła wyrwać z kochającego serca miłość, którą może w nie zesłały gwiazdy, a osiągnęła tylko to, że wraz z miłością i życie serce to opuściło.

„W mieście naszym, wedle opowiadania starców, żył bogaty kupiec, imieniem Leonardo Sighieri, któremu żona powiła syna, zwanego Girolamem. Wkrótce po urodzeniu się syna kupiec spisał swoją ostatnią wolę i zszedł z tego świata. Opiekunowie wraz z matką dziecięcia dobrze i uczciwie majątnościami Girolama zarządzali. Chłopiec, wzrastając wraz z dziećmi sąsiadów, polubił osobliwie rówieśną sobie dziewczeczkę, córkę krawca. Gdy już do lat bardziej żralych<sup>125</sup> doszedł, to dziecinne przywiązanie w gorącą miłość się przemieniło, tak iż Girolamo jeno<sup>126</sup> wówczas za szczęśliwego się poczytywał, gdy widokiem swej umiłowanej mógł się cieszyć. Dzieweczka nie mniejszym afektem mu odpłacała. Matka Girolama, spostrzegłszy tę skłonność, nieraz strofowała i gromiła syna swego. Widząc jednak, że niestety jego serca od namiętności tej nie oswobodzi i przekonana

<sup>123</sup>przytomność (daw.) — obecność (przy czymś, przy jakimś wydarzeniu). [przypis edytorski]

<sup>124</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>żraly (daw.) — dojrzały. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

będąc, że dzięki pieniądzom nawet ze śliwki pomarańczę uczynić można, rzekła pewnego razu do opiekunów:

— Nasz Girolamo jeszcze czternastu lat nie ukończył, a już zakochał się gorąco w córce naszego sąsiada, krawca. Jeśli mu jej z oczu nie usuniemy, pewnego dnia, ani chybi, poślubi ją tajnie, co mi resztę życia zatruje. Gdy zaś obaczy ją żoną innego, gotów uschnąć ze smutku i rozpaczy. Sądzę tedy<sup>127</sup>, że dla uniknięcia tego wszystkiego, należy go wysłać daleko, gdzie by jakimis sprawami handlowymi zająć się mógł. Gdy nie będzie na nią nieustannie patrzył, zapomni o niej, a wówczas damy mu za żonę dziewczynę ze znacznego idącą rodu.

Opiekunowie pochwalili ten zamiar, a potem zawezwali do sklepu Girolama i tak jeden z nich przemówił do niego dobrotliwie:

— Wkrótce już dorośniesz, Girolamo, dlatego też pora, abys sam o sobie myśleć zaczął. Pragnęlibyśmy z całej duszy, abys na pewien czas do Paryża się udał. W mieście tym większa część twojej gotowizny w obrocie handlowym się znajduje. Tam też nauczysz się przykładowych obyczajów, obaczysz wielu baronów, szlachciców i innych znacznych ludzi i przejmiesz od nich wiele polerowności<sup>128</sup> i dworności. Potem do Florencji powrócisz.

Girolamo, pilnie wszystkiego wysłuchawszy, odparł krótko, że nie myśli wcale wyjeżdżać, bowiem może nauczyć się żyć także i we Florencji. Opiekunowie poczęli wówczas nalegać na niego, ale nic wskórać nie mogąc, donieśli o wszystkim matce. Ta, wzburzona wielce, zawezwawszy syna, poczęła mówić z nim nie tyle o wyjeździe do Paryża, ile o miłości, którą mu srodze naganiała. Potem od wyrzutów do tkliwych pieszczot i słów przymilnych przeszedłszy, prosiła go, aby opiekunów swych posłuchał i na prośbę ich przystał. Girolamo dał się wreszcie nakłonić i przyrzekł, że przez rok, ale nie dłużej, w Paryżu pozostanie.

Owóż więc odjechał do Paryża z sercem pełnym miłości. Opiekunowie tak zręcznie w Paryżu przetrzymywali go umieli, że przez dwa lata tam przebywał. Gdy zaś wreszcie, jeszcze bardziej niż wprzód zakochany, do Florencji powrócił, dowiedział się, że Salwestra została żoną pewnego florenckiego rzemieślnika, robiącego namioty. Z tego powodu w niezmierną rozpacz popadł, aliści wiedząc, że nic tu zmienić nie lza<sup>129</sup>, starał się w miarę sił swoich nad sobą zapanować. Uznawszy, gdzie Salwestra mieszka, poczęł krążyć koło jej domu, jak to zakochani młodzieńcy czynić są w obyczajach, wierzył bowiem, że białogłowa, jemu podobna, jeszcze o nim nie zapomniała. Omylił się jednak, bowiem Salwestra nie chciała nawet wspominać o nim, tak jakby go nigdy nie była znała. A jeśli nawet wspomniała go czasem, to nie okazywała tego po sobie. Strapiony młodzian przekonał się o tym wrychle, ku swojej wielkiej rozpacz, mimo to jednak nie litował<sup>130</sup> starań, aby znów na się uwagę jej zwrócić. Ponieważ wszystkie te wysiłki płonnymi się okazały, postanowił tedy choćby za cenę życia chwilę rozmowy z nią uzyskać. Wywiedziawszy się od jednego z sąsiadów o modłę<sup>131</sup> życia małżonków, wśliznął się pewnego wieczoru do domu Salwestry, gdy ta właśnie pospołu z mężem i sąsiadami na mieście bawiła, i ukrył się w sypialnej komnacie za sztukami namiotowego płótna. Tak ukryty doczekał się ich powrotu. Wkrótce usłyszał, że się do łóżka kładą. Gdy mąż zasnął, podszedł do łóżka Salwestry i położywszy jej rękę na piersi, rzekł cichym głosem:

— Czy śpisz, najdroższe serce moje?

Białogłowa, która jeszcze nie spała, chciała krzyknąć, aliści<sup>132</sup> Girolamo zaklął ją:

— Na Boga, nie krzycz! Jestem twoim Girolamem!

— Girolamo, na miłosierdzie boskie, odejdz stąd co prędzej — odparła Salwestra, drżąc całym ciałem. — Już minął ten czas, gdy będąc dziećmi mogliśmy kochać się nawzajem. Wiesz przecie, że mężatką jestem! Nie chcę znać żadnego mężczyzny krom<sup>133</sup> męża mego. Dlatego też na rany Chrystusa cię zaklinam, opuść mnie w tej chwili. Gdyby cię mąż mój usłyszał, to co najmniej takie nieszczęście z tego by wynikło, że nie mogła-

<sup>127</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>polerowność — ogląda. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>nie lza (daw.) — nie można, nie wolno. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>litować — tu: żalować. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>modła — sposób. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

bym już z nim żyć w zgodzie i spokoju, podczas gdy teraz, kochana przez niego, spokojną i szczęśliwą się czuję.

Młodzieniec słowami tymi w samo serce tknięty ją<sup>134</sup> jej przypominać przeszłość i miłość swoją, której ani rozłąka, ani lata złamać nie mogły; zaklinał ją i błagał, ale to wszystko na nic się nie zdało. Postanowiwszy życie sobie odjąć, począł na koniec ją prosić, aby w imię tak wielkiej miłości zezwoliła mu położyć się obok niej i nieco się ogrzać, skostniał bowiem od zimna, czekając na nią. Przyrzekł jej przy tym, że się jej nie dotknie i że, ogrzawszy się nieco, odejdzie natychmiast. Salwestra, niejakim współczuciem przenikniona, zgodziła się. Wówczas Girolamo położył się przy niej, nie tykając jej. Skupiwszy całą myśl na wspomnieniach długiej miłości i nadziejach utraconych, z życiem rozstać się postanowił. Wstrzymał tedy<sup>135</sup> oddech, ścisnął kurczowo ręce i nie poruszywszy się umarł. Po pewnym czasie białogłowa, zadziwiona jego spokojem i wstrzemięźliwością i obawę żywiąca, aby mąż się nie obudził, rzekła:

— Czas już odejść, Girolamo!

Nie usłyszawszy odpowiedzi, była przekonana, że Girolamo zasnął. Dlatego też wyciągnęła rękę, chcąc go obudzić, aliści dotknąwszy jego ciała poczuła, że jest ono zimne jak lód, co ją wielkim zadziwieniem napełniło. Trąciła go silniej, jednakże Girolamo nie poruszył się. Dopiero wówczas upewniła się, że umarł. Osłupiała i zgrozą przejęta, przez długi czas nie wiedziała, co jej uczynić należy. Wreszcie postanowiła opowiedzieć mężowi o tym zdarzeniu, aliści przedstawić je tak, jakby ono nie jej, lecz kogoś innego dotyczyło. Zbudziła tedy męża, opowiedziała mu rzecz całą, która rzekomo gdzie indziej się zdarzyła, i zapytała go, co by uczynił, gdyby podobny przypadek mu się przytrafił? Poczciwiec odpowiedział, że według jego zdania, należałoby po cichu zwłoki odnieść na próg domu zmarłego, żonie zaś nijakiej krzywdy nie czynić, bowiem ona winy za to ponosić nie może.

— Jeśli tak — rzekła Salwestra — to i nam podobnie uczynić wypada.

Wziąwszy męża za rękę, kazała mu dotknąć ciała młodzieńca. Mąż Salwestry, srodze zalekziony, zerwał się z łoża, rozniecił światło i nie mówiąc ni słowa, ubrał trupa w jego szaty. Po czym, przekonany o niewinności żony, wziął ciało na barki i zaniósł je na próg domu zmarłego, gdzie je pozostawił.

Gdy o świcie martwego Girolama na progu znaleziono, podniósł się lament powszechny. Osobliwie rozpacziała matka zmarłego. Obejrzano całe ciało; ponieważ jednak najmniejszej rany ani sińca na nim znaleźć nie można było, lekarze orzekli, że młodzieniec zmarł z dusznej<sup>136</sup> boleści, co w samej rzeczy prawdą było. Później odniesiono ciało do kościoła. Wkrótce przybyła tam matka Girolama, wielką boleścią złamana, w towarzystwie wielu krewniaczek i sąsiadek. Wszystkie, zwyczajem naszym, łkały rzewnie i zawodziły nad trumną. Gdy ów płacz nieutulony się podniósł, poczciwy rękodzielnik, w którego domu Girolamo umarł, rzekł do swojej żony:

— Zrzuc płaszcz na siebie, idź do kościoła, wmieszaj się między niewiasty i posłuchaj, co ludzie o tym między sobą mówią. Ja zrobię to samo i wcisnę się między mężczyzn, żeby przekonać się, czy czegoś przeciwko nam nie powiadają.

Młoda białogłowa, zbyt późno litością do zmarłego przenikniona, odziała się i poszła, tak jakby ochotnie chciała patrzeć na młodzieńca, któremu, póki żył, nawet jednego pocałunku skąpiła. Osobliwą i jakże trudną do uchwycenia jest zaiste potęga miłości! Serce, które głuche na wołania Girolama pozostało, gdy ten żył we wszelkiej pomyślności, teraz odkryło się i zmiękło wobec niedoli. Płomień dawnej miłości zbudził się w Salwestrze od nowa, a na widok martwego oblicza, niezmierna żalność ją objęła. Okryta szczelnie płaszczem, przycisnęła się przez tłum kobiet i do zwłok się przybliżyła. Tutaj z przeraźliwym krzykiem padła twarzą na trupa i nawet zrosić go łzami nie zdołała, bowiem ledwie się ciała dotknęła, skonała, tak jak on, duszną boleścią rażona. Wszystkie przytomne białogłowy rzuciły się ku niej, nie wiedząc, kim jest, aby ją pocieszyć i podnieść, aliści<sup>137</sup> Salwestra leżała bez ruchu. Co widząc, gwałtem ją od zwłok oderwać chciały; dopiero wówczas spostrzegły, że jest to Salwestra, już martwa. Białogłowy, wstrząśnięte podwój-

Miłość silniejsza niż śmierć

<sup>134</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>duszny (daw.) — duchowy, związany z duszą. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

nym współczuciem, uderzyły w ogromny płacz. Wieść o nieszczęsnym zdarzeniu obiegła wkrótce całe miasto i doszła do uszu przewijającego się w tłumie męża Salwestry, który długo płakał, na wszelkie pociechy nieczuły. Po czym opowiedział przytomnym, co zaszło tej nocy między młodzieńcem a jego żoną; dzięki temu podał na jaśnie przyczynę ich śmierci. Wszyscy nad tym boleli. Przybrano tedy ciało młodej kobiety w stosowne szaty i położono je na tych samych marach obok ciała młodzieńca. Później w wspólnej mogile zwłoki pogrzebiono. Miłość nie mogła za życia kochanków połączyć, za to śmierć nierozzerwalnymi i wiecznymi więzami ich sprzegła”.

## OPOWIEŚĆ DZIEWIĄTA. OKRUTNY MAŻ

*Wilhelm z Roussillonu każe żonie swojej zjeść serce umiłowanego przez nią Wilhelma Cabestanh, którego on zamordował. Uznaawszy o tym, białogłowa rzuca się z wysokiego okna i umiera. Grzebią ją pospółu z kochankiem.*

Neifile opowieścią swoją powszechnie współczucie niewiast dla nieszczęśliwych kochanków wzbudziła. Król, nie myśląc naruszać przywileju Dionea i wiedząc, że już wszyscy tego dnia opowiadali, zaczął sam w te słowa:

— Miłe damy! Przyszła mi na myśl opowieść, która was, co tak serdecznie odczuwacie niedole kochających, silniej poruszyć musi niż poprzednie, jako że znaczniejsze były osoby, o które w niej idzie, i okrutniejszy dostał się im los.

„Wiedźcie tedy, że zgodnie z prowansalskim podaniem, dawnymi czasy żyło w Prowancji dwóch rycerzy, posiadających wasali i zamki. Jednego z nich zwali Wilhelmem z Roussillonu, drugiego Wilhelmem z Cabestanh. Ci dzielni rycerze, jako równie waleczni w boju, w ścisłej przyjaźni żyli. Na wszystkie turnieje i orężne zawody zjawiali się razem, jednak odziani i z jednaką na tarczy dewizą. Zamki ich o dziesięć mil od siebie oddalone były. Wilhelm z Roussillonu posiadał wielce urodziwą żonę. Cabestanh, nie bacząc na wierną przyjaźń i zażyłość, łączącą go z Wilhelmem z Roussillonu, zakochał się niezmiernie w jego żonie i ze wszystkich sił starał się afekt swój jej wyrazić. Dama, znając go jako dzielnego i szlachetnego rycerza, spostrzegła to i zapłonęła doń równą miłością, tak iż nikogo droższego odeń na świecie dla niej nie było, i czekała tylko, by zwrócił się do niej. Po niedługim czasie tedy stało się to i wzajemnością miłości cieszyć się poczęli. A gdy mniej ostrożnie sobie poczynali, przed Wilhelmem z Roussillonu ukryć się nie zdołali. Ów tak wielkim gniewem się zapalił, że cała jego dawniejsza miłość dla Cabestanha w śmiertelną się przemieniła nienawiść. Ukrył jednak starannie nienawiść swoją aniżeli kochankowie miłość i postanowił zabić Wilhelma.

Gdy tedy Roussillon takie zamysły w duszy piastował, zdarzyło się, że wielki turniej we Francji obwołany został. Wilhelm natychmiast uwiadomił o tym Cabestanha i kazał mu powiedzieć, że jeśli chce, niechaj przyjeżdża do niego, a wówczas naradzą się, czy i w jaki sposób na turniej się udać. Cabestanh odpowiedział z radością, że następnego dnia przybędzie niechybnie na wieczerzę do zamku przyjaciela. Roussillon postanowił wówczas zamysły swoje w czyn wcielić. Uzbroidł się, wsiadł na konia i w towarzystwie dobranych sług swoich podążył na miejsce oddalone od jego zamku może o milę drogi; tam ukrył się w lesie koło drogi, którą miał przejeżdżać Cabestanh. Poczekawszy kęs czasu, ujrzał Cabestanha nadjeżdżającego bez broni, z dwoma bezbronnymi sługami. Widać było, że niczego nie podejrzewa ani nie obawia się.

Gdy Wilhelm zbliżył się do miejsca zasadzki, zdradziecki Roussillon z wściekłością rzucił się na niego i krzyknawszy: »Giń, lotrze!«, przebił go lancą na wylot. Cabestanh, nie mając możliwości nie tylko bronić się, ale choćby jedno słowo wymówić, zwałił się z konia, lancą przeszyty, i wkrótce ducha wyzionął. Słudzy jego, nie starając się nawet dowiedzieć, kto był mordercą ich pana, zawrócili konie i czym prędzej pomknęli do zamku z powrotem.

Roussillon zsiadł z rumaka, otworzył nożem pierś Cabestanha i własnymi rękoma serce mu z piersi wyrwał. Po czym owinął je w chorągiewkę od kopii i powierzył je jednemu ze sług, którym najściślejszą tajemnicę zachować przykazał. Po chwili wsiadł na konia i późną nocą do domu powrócił. Żona jego, wiedząc, że Cabestanh ma przybyć na wie-



czerzę, czekała nań z niecierpliwością. Zdziwiona, nie widząc, by kochanek nadjeżdżał, rzekła do męża:

— Dlaczego Cabestanh dotąd nie przybył?

— Dał mi znać, że przed jutrem przybyć do nas nie może — odparł Wilhelm.

Wiadomość ta nieco zatrwożyła damę. Roussillon zaś zsiadłszy z rumaka przywołał kucharza i rzekł:

— Weź to serce dzika, którego ubiłem, i przyrządź z niego najsmakowitszą potrawę, jaką tylko potrafisz. Gdy zasiądem do stołu, przyślij ją na srebrnym półmisku.

Kucharz wziął serce, posiekał je, przyprawił sosem, dobrymi korzeniami i przyzwawszy na pomoc cały swój kunszt, wyborny kęs przygotował. Wilhelm o zwykłej porze siadł do wieczerzy pospołu z żoną. Podano potrawy, aliści Wilhelm jadł mało, bowiem myśli jego były zbyt zajęte zbrodnią, którą popełnił. Wreszcie zjawił się na stole srebrny półmisek. Rycerz, nie tknąwszy potrawy, powiadając, że tego wieczora nie ma apetytu, podsunął ją żonie swojej i zalecił jako rzecz wyborną. Dama, przy dobrym apetycie będąca, skosztowała, a ponieważ wydała się jej smakowita, więc zjadła wszystko.

Pan Wilhelm, ujrawszy to, rzekł:

— Jakże ci smakowała ta potrawa, żono?

— Zaprawdę, bardzo — odparła dama.

— Nie dziwię się temu — rzekł rycerz — cóż to bowiem dziwnego, dalipan, że w tym, co za życia ponad wszystko miłym ci było, po śmierci znajdujesz upodobanie.

Dama zadumała się przez chwilę nad tymi zagadkowymi słowami, a potem spytała:

— Nie pojmuję. Cóż zatem do zjedzenia mi daliście?

— Zjadłaś — odparł rycerz — serce pana Wilhelma Cabestanh, którego tak miłowałaś, wiarołonna niewiasto! Nie wątp o prawdzie tego, co ci powiadam, sam bowiem własnymi rękoma przed kilku godzinami z piersi mu je wydarłem.

Nie trza mówić nawet, jaka była rozpacz damy, gdy usłyszała straszną wieść o czleku, którego ze wszystkich sił miłowała.

— Postąpiłicie nie jako rycerz, lecz jak zdrajca i łotr — rzekła po chwili. — Cabestanh mnie nie niewolił, a jeśli uczyniłam go panem mego serca i przez to ujmę ci uczyniłam, to mnie, a nie jego, kara za to osiągnąć była powinna. Bóg nie zwoli jednak, abym inny pokarm kiedykolwiek do ust wziąć miała po spożyciu tak szlachetnej potrawy jak serce pana Wilhelma Cabestanh, rycerza nieporównanej dzielności i dworności.

To rzekłszy wstała od stołu, podeszła do okna, które było za nią, i nie zastanawiając się chwili, tyłem runęła z niego na ziemię. Okno to tak wysoko nad ziemią się znajdowało, że dama nie tylko zabiła się, ale i całkiem pogruchotała.

Rycerz przeraził się niezmiernie i pojął, że źle uczynił. Obawiając się zemsty ludu i grabiego Prowancji, kazał osiodłać rumaka i w świat wyruszył. Nazajutrz rano wieść o smutnym zdarzeniu rozniosła się po całej okolicy. Ciało Wilhelma Cabestanh i jego damy zabrali dworzanie z zamków obojga kochanków pośród niepomiernego bólu i płaczu, po czym w kościele zamkowym nieszczęsnej pani do jednego złożono je grobowca. Na głazie wyryto wiersze, które wiadomymi czyniły ich imiona i przyczynę ich zgonu".

Kochanek, Rycerz, Dama,  
Miłość silniejsza niż śmierć,  
Grób

## OPOWIEŚĆ DZIESIĄTA. CUDOWNE PRZYTRAFIENIE PEWNEGO NIEBOSZCZYKA

*Żona pewnego doktora, mniemając, że kochanek jej umarł, wkłada go uspiętego do skrzyni, którą z nim dwóch lichwiarzy do domu swego zabiera. Gdy rzekomy nieboszczyk do zmysłów powraca, o kradzież go oskarżają. Służka damy opowiada sędziemu, że sama do skrzyni młodzieńca włożyła, i w ten sposób od stryczka go uwalnia, a lichwiarze za kradzież skrzyni na karę piękną skazani zostają.*

Teraz gdy król skończył, jeno<sup>138</sup> Dioneo miał jeszcze opowiadać. Wiedząc to, nie czekał na rozkaz, ale zaczął w te słowa:

— Smutne dzieje nieszczęśliwych kochanków, które przedmiot poprzednich opowieści stanowiły, dość mnie i was, drogie damy, rozrzewniły, dlatego też czekałem tylko,

<sup>138</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

kiedy dobiegną końca. Chwała Bogu, te płaczliwe historie już swój kres znalazły, ja zaś<sup>139</sup> nie myślę ich liczby jeszcze i moją opowieścią pomnażać. Opowiem wam wesołą i miłą historię, która oby dobrym zwiastunem dla jutrzejszego dnia była.

„Wiadome wam zapewne, że w Salerno<sup>140</sup> żył niedawno znakomity medyk, biegły w chirurgii, mistrz Mazzeo della Montagna. Do lat szedziwych przyszedłszy, ożenił się on z piękną i młodą dziewczynką, także z Salerno pochodzącą. Hołubił troskliwie młodą żonę, obdarzał ją drogocennymi szatami, klejnotami i wszystkim, co niewieściej próżności może być drogie, tak iż pyszniła się bardziej niż jakakolwiek inna w mieście białogłowa. Jedno tylko nie po myśli jej było: często ziębła w łożu nocą, mąż bowiem nie starał się o jej należyte okrycie. I jak sędzia Ricciardo da Chinzica, o którym była już mowa, żonę swoją świętami durzył, tak Mazzeo della Montagna wmawiał w swoją żonę, że po każdej nocy rozkoszy Bóg wie jak długiego odpoczynku dla nabrania nowych sił potrzeba. Płótn jej przy tym siła<sup>141</sup> różnych bzdur, które młodej białogłowie niezbyt do smaku przypadają. Żona pana Mazzea, niewiasta zabiegliwa i rozsądna, postanowiła dla oszczędzenia zapasów domowych wyjść na miasto i u innych się pożywić.

Jęła się przeto przyglądać pilnie różnym młodzieńcom i wreszcie wybrała jednego, na którym oparła wszystkie swoje nadzieje, tęsknoty i całe szczęście swoje. Młodzieniec, spostrzegłszy to, równe upodobanie w niej znalazł i zwrócił ku niej całą miłość swoją. Zwano go Ruggierim d'Ajeroli; chociaż z szlchetnego pochodził rodu, wiódł jednak żywot tak występny i plugawy, że w końcu nie zostało mu ani jednego krewniaka lub przyjaciela, który by go znać i widywać pragnął. Po całym Salerno o jego wszeteczeństwach słuchy chodziły. Aliści dama niewiele dbała o sądy ludzkie, bowiem Ruggieri przypadł jej do serca dzięki innym swoim przymiotom. Za pośrednictwem służki umówiła się z nim na schadzki. Gdy się na osobności znaleźli i już pragnieniom swoim folgę dali, dama poczęła strofować Ruggiera za jego dotychczasowy sposób życia i błagać go, aby dla jej miłości na przyszłość się odmienił. Dla ułatwienia mu zasię poprawy, wspomagała go raz większą, to znów mniejszą sumą pieniędzy.

Gdy kochankowie tak w tajności szczęściem się swoim cieszyli, zdarzyło się, że medyk miał opatrzyć chorego, którego cała noga była w ranach. Zbadawszy go, lekarz oświadczył jego krewniakom, że trza z nogi wyjąć nadpsutą kość, gdyż innej rady nie masz. Gdy się rzecz w odwłokę poda, to trzeba będzie albo odjąć mu całą nogę, albo też chory umrze. Jeśli zaś kość się wyjmie, to zapewne chory do zdrowia powróci, chociaż ręczyć za to nie sposób. Niechaj zatem krewniacy dobrze to wszystko zważą! Krewniacy zgodzili się na medyczny zabieg; lekarz wiedząc, że chory zabiegu tego nie wytrzyma bez dania mu usypiającego środka, wstrzymał się do wieczora, a za dnia zabrał się do przygotowania pewnego napoju tą cnotą obdarzonego, że po wypiciu go chory w tak twardej sen wpadał, iż można go było krajać bez obawy o jego przebudzenie się. Przyrządziwszy ten napój, postawił go na stole w swojej komnacie, aliści<sup>142</sup> nie uprzedził nikogo, jaka jest jego właściwość. Wieczorem, gdy lekarz już do chorego miał się udać, przysłali po niego jego serdeczni przyjaciele z Amalfi, którym nijak odmówić nie mógł. W mieście tym w czasie bójki siła ludzi okrutnie poraniono. Dlatego też medyk odłożył zabieg do następnego dnia, sam zasię w barce do Amalfi pośpieszył. Żona jego, wiedząc, że na noc do domu nie wróci, zaraz uwiadomiła o tym Ruggiera. Gdy kochanek przybył, zamknęła go w komnacie, czekając, aż domownicy spać się pokładą. Ruggieri, czekając na damę, poczuł silne pragnienie być może ze znużenia albo też dlatego, że jadł jakąś słoną potrawę. Spostrzegłszy napój przygotowany dla chorego, pomyślał, że jest to woda, schwytał przeto butelkę i zawartość jej do ostatniej kropli wypił. Po chwili nieodparty sen go zmorzył, tak iż zwałił się na skrzynię jak kłoda.

Gdy się w domu uciszyło, dama weszła do komnaty, a znalazłszy uśpionego Ruggiera, po cichu budzić go poczęła i wołać głosem stłumionym. Aliści wysiłki jej próżne były, bowiem Ruggieri nie drgnął nawet i słowa nie wymówił. Wówczas dama, nieco zmie-

<sup>139</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>Salerno — miasto we Włoszech, w Kampanii, nad Morzem Tyrreńskim; niegdyś słynące ze szkoły medycznej, założonej w IX w., w której przetłumaczono wiele cennych dzieł arabskich i żydowskich. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>siła (daw.) — dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

szana, trąciła go silniej i rzekła: »Wstawaj, śpiochu! Jeśliś chciał się wyspać, trzeba było w domu pozostać«. Ruggieri, silnie potrząśnięty, zwał się bezwładnie ze skrzyni na ziemię, jak martwe ciało, nie dając najmniejszej życia oznaki. Przerazona dama poczęła go trząść, tarmosić, szczypać za nos i ciągnąć za brodę, wszystko na próżno jednak, bowiem Ruggieri spał jak zabity. Wówczas dama, tknięta myślą, że Ruggieri umarł, chwyciła się ostatecznego środka i zapaloną świecą przypiekać go poczęła; ale gdy i to nie pomogło, nie wątpiła już o śmierci kochanka. Chociaż żona lekarza, niewiele bowiem wiedziała o sztuce medycznej. Nie trza nawet mówić, jak się bardzo strapiła, kochając go zaiste ponad wszystko; nie śmiać krzyżeć, jęła<sup>143</sup> płakać po cichutku i gorzko na swoją dołę się żalić. Po chwili, uspokoiwszy się nieco, postanowiła, dla uniknięcia wielkiej hańby, pozbyć się nieboszczyka z domu. Ponieważ sama tego dokonać nie mogła, wezwała po kryjomu służkę i wskazawszy jej, co się stało, o radę ją poprosiła. Służka, wielce zadziwiona, poczęła znów szarpać i szczypać młodzieńca, aliści widząc, że jej wysiłki żadnego nie odnoszą skutku, oświadczyła, że ani chybi umarł i że należy ciało z domu usunąć.

— Gdzież jednak zwłoki położymy? — zapytała dama. — Gdy je jutro ludzie obaczą, zaczną podejrzewać, że z naszego domu wyniesione zostały.

— Madonno — rzekła służka — dzisiaj późnym wieczorem widziałam skrzynię przed warsztatem stolarza, znajdującym się naprzeciw naszego domu. Jeśli jej jeszcze dotąd nie zabrano, przyda nam się ona wielce. Chociaż skrzynia jest dość mała, przecie wepchniemy w nią ciało, któremu uprzednio kilka ciosów nożem zadać trzeba. Któż będzie mógł przypuścić, że je właśnie od nas wyniesiono, a nie skądinąd? Wszyscy wiedzą, że Ruggieri był zawołanym hultajem, pomyślą, że jakiś wróg go zabił, a potem w tej skrzyni ukrył.

Dama pochwaliła radę służki, nie zgodziła się jeno<sup>144</sup> na zadanie trupowi ciosów nożem. Za żadne skarby świata przystać na to nie chciała. Później poleciła służce zobaczyć, czy skrzynia jeszcze na swoim miejscu stoi. Służka przyniosła odpowiedź twierdzącą, a potem, jako rosła i silna dziewczyna, wzięła zwłoki Ruggiera na plecy. Dama wyszła przed dom, aby obaczyć, czy nikogo w pobliżu nie ma; później obie zbliżyły się do skrzyni, wepchnęły w nią ciało i wieko zawarły.

Niedaleko od domu medyka mieszkało dwóch młodzieńców zajmujących się lichwą, którzy w tych dniach do miasta powrócili. Za zasadę mieli, by brać, co się da, a dawać jak najmniej. Zauważywszy tedy dnia poprzedniego skrzynię, umyślili ją ukraść, jeśli tylko stolarz przed nocą jej nie zabierze, chcieli bowiem zaradzić brakowi sprzętów w swojej komnacie. Skoro tedy północ minęła, wyszli po cichu z domu i znalazłszy skrzynię, nie mieszkając<sup>145</sup> ją porwali, chociaż dziwnie ciężką im się być wydawała. Zanieśli ją do domu i postawili obok komnaty żon swoich, nie bawiąc się zbytnio jej oglądaniem. Potem na spoczynek się udali. W tym czasie Ruggieri spał krzepkim snem. Jednakże ziele powoli siłę swoją traciło, tak iż młodzieniec obudził się przed świtem. Chociaż jednak sen go już opuścił, a zmysły odzyskały swą władzę, pozostało mu niejaki odurzenie, którego nie tylko przez noc, ale i przez wiele dni następnych pozbyć się nie mógł. Rozwarł szeroko oczy, aliści<sup>146</sup> nic nie widząc dookoła, począł rękoma macać. Dorozumiawszy się, że w jakiejś skrzyni się znajduje, pamięć wysilając, rzekł do siebie: »Co to ma znaczyć? Gdzież ja jestem? Czy śpię, czy też obudzony jestem? Przypominam sobie, że wieczorem bawiłem w komnacie mojej kochanki, a teraz zdaje mi się, że jestem w jakiejś skrzyni zamknięty. Cóż to ma znaczyć? Może lekarz powrócił albo może coś niespodziewanego zaszło, tak iż jego żona musiała mnie tu śpiącego ukryć. Ani chybi, tak być musi«. Do tej myśli przyszedłszy, dech w sobie zapał i ją<sup>147</sup> nadśluchiwać, czy czegoś nie usłyszy. Gdy jednak przez czas dłuższy najgłębsze milczenie trwało, a jemu od leżenia w ciasnej skrzyni bok, na którym się opierał, wielce doskwierać począł, chciał się Ruggieri na drugą stronę przewrócić; tak się jednak niezręcznie i gwałtownie poruszył, że uderzywszy z całej siły o ścianę skrzyni nierówno stojącej, zachwiał nią, a później ją z strasznym hukiem przewrócił. Rumor ten obudził śpiące w pobliżu kobiety, które z wielkiej trwogi oniemia-

<sup>143</sup>jęć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>nie mieszkając (daw.) — nie zwlekając, nie tracąc czasu. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>jęć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

ły i leżały, milcząc, jak martwe. Ruggieri sam także upadkiem skrzyni niepomału<sup>148</sup> się przeraził, ujrawszy jednak, że wieko się otworzyło, nie mieszkając wylazł z swojej klatki, nie chciał bowiem, aby go we wnętrzu zdybali. Nie wiedział jednak, gdzie się znajduje; idąc po omacku, szukał jakichś schodów lub drzwi, przez które mógłby umknąć.

Białogłowy, usłyszawszy, że ktoś po komnacie chodzi, spytał wreszcie:

— Kto tam?

Ruggieri, słysząc nieznanego mu głosu, nie odpowiedział. Wówczas białogłowy zaczęły wołać na swoich mężów, aliści ci, po długim czuwaniu tej nocy, spali krzepkim snem i niczego nie słyszeli. Przerażone niewiasty wyskoczyły z łóżek i podbiegły do okna, wołając:

— Złodzieje, złodzieje!

Na ten krzyk obudzili się i przybiegli sąsiedzi, którzy wprost z ulicy, a także przez dach do domu lichwiarzy się dostali. Wreszcie i gospodarze oczy otwarli. Ruggieri spostrzegłszy, że znajduje się w całkiem nieznanym mu miejscu, z zadziwienia przytomność utracił i uciekać nawet nie próbował, nie wiedząc zresztą, w którą kierować się stronę. Schwytano go też zaraz i oddano zbirom wielkorządcy, którzy także na ów wrzask przybiegli. Zbiry przywieźli Ruggiera do sędziego, który, znając go jako wielkiego wszetecznika, natychmiast na pytki wziąć go rozkazał. Młodzieniec, bólem okrutnym przymuszony, wyznał, że wszedł do domu lichwiarzy w zamiarze okradzenia ich. Wówczas sędzia na powieszenie go skazał.

Na drugi dzień po całym Salerno gruchnęła wieść, że Ruggieri w domu lichwiarzy na gorącym uczynku kradzieży przychwycony został. Żona doktora i służka, usłyszawszy o tym, w takie osłupienie popadły, iż prawie uwierzyć były skłonne, że wszystko, co zeszłej nocy się przydarzyło, nie prawdą, lecz snem było. Krom tego, damę prawie do szaleństwa przywodziła myśl o grożącej jej miłośnikowi śmierci. W tym czasie powrócił z Amalfi medyk, który natychmiast po powrocie kazał sobie podać przygotowany napój, chciał się bowiem do chorego udać. Ujrawszy pustą flaszkę, jął krzyżeć w gniewie, że w domu nijakiego ładu nie masz. Żona jego, inne troski mająca na głowie, odparła niecierpliwie:

— Przeczże to dla rzeczy tak błahej podobny gwałt podnosisz? Wielce mi ważna sprawa, że woda rozlana została! Zaliż nie ma więcej wody na świecie?

— O głupia białogłowo! — zawołał doktor — mniemasz więc, że to zwykła woda była? Muszę ci rzec, że w wielkim błędzie jesteś, był to bowiem napój, który choremu na sen zadać chciałem.

Dama, słowa te usłyszawszy, pojęła od razu, że Ruggieri tej wody napić się musiał, dzięki czemu do nieboszczyka stał się podobien. Odrzekła tedy swemu mężowi:

— Nie wiedzieliśmy o tym wcale, ale możecie przecie nowy napój przygotować!

Mistrz, widząc, że innej rady nie ma, zabrał się do pracy od nowa.

Po chwili powróciła służka, którą dama wysłała, aby o Ruggierim języka zasięgnęła, i rzekła:

— Madonno, wszyscy już Ruggiera opuścili i źle o nim mówią. Jak się dowiedziałam, dotąd żaden krewniak ani przyjaciel nie upomniał się oń, tak iż wasz kochanek znikąd pomocy oczekiwać nie może. Pospolicie sądzą, że kat go jutro obwiesi. Posłuchajcie mnie teraz uważnie, zdaje mi się bowiem, że odgadłam, jakim sposobem Ruggieri u lichwiarzy mógł się znaleźć. Rzecz się tak miała: Znacie dobrze stolarza, przed którego drzwiami stała skrzynia? Owóż przed chwilą widziałam stolarza, sprzeczącego się zawzięcie z jakimś człekiem, który był, ani chybi, właścicielem skrzyni. Człek ten domagał się zapłaty za skrzynię, stolarz zaś twierdził, że jej nie sprzedał, bowiem mu ją tej nocy ukradziono. »Łżesz niegodnie — zawołał wówczas właściciel skrzyni — widziałem ją bowiem w domu lichwiarzy tej nocy, gdy Ruggiera pochwycono. Mówili mi sami, żeś im ją sprzedał.« »Tedy oni kłamią, a nie ja — odparł stolarz — nigdy im jej bowiem nie sprzedawałem; musieli mi ją ukraść tej nocy. Chodźmy do nich.«

To rzekłszy, stolarz pospołu z właścicielem skrzyni udali się do domu lichwiarzy, ja zaś przybiegłam tutaj. Dowodnie z tej rozmowy widać, jakim sposobem Ruggieri mógł się do ich domu dostać. Pojąć jeno<sup>149</sup> nie mogę, jak mu się zmartwychwstać udało.

<sup>148</sup>*nepomału* (daw.) — niemało. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>*jeno* (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

Dama wiedziała już dobrze, co myśleć o całym zdarzeniu, dlatego też powtórzyła służce zaraz słowa doktora. Potem poczęła ją zaklinać, by ratowała Ruggiera od niechybnej śmierci, aliści<sup>150</sup> w ten sposób, by jej cześć szwanku nie doznała. Wówczas służka obiecała, że uczyni wszystko, co w jej mocy się okaże, niechaj tylko dama nauczy ją pierwej, jak ma postąpić. Dama, czując nóż na gardle, ułożyła naprędce stosowny plan i służkę szczegółowie<sup>151</sup> weń wtajemniczyła.

Dziewczyna udała się, nie mieszkając<sup>152</sup>, do lekarza i rzekła doń z płaczem:

— Ach, panie, muszę błagać was o przebaczenie, bowiem srodze wobec was zawiniłam.

— Jakaż to wina? — spytał mistrz.

— Znacie wszak młodzieńca Ruggiera d'Ajeroli — odparła łkając ciągle. — Upodobał mnie sobie i wszystkimi siłami, łask i grózb nie szczędząc, zdołał mnie nakłonić k'temu<sup>153</sup>, żem jego kochanką została. Dowiedziawszy się wczoraj, że was nie będzie w domu, to na mnie wymógł, żem go do swej komnaty wpuściła. Nagle pić mu się zachciało; nie wiedziałam, skąd wody lub wina dostać, nie chciałam przy tym, aby mnie obaczyła żona wasza, która właśnie w jadalni się znajdowała. Przypomniawszy sobie, że w komnacie waszej widziałam flaszkę z wodą, pobiegłam po nią co tchu; gdy Ruggieri wodę wypił, odniosłam flaszkę z powrotem na dawne miejsce. Wiem, że o to krzyk wielki podnieśliście w domu, wiem, że zawiniłam, któż jednak nie grzeszy czasami? Wielce boleję nad tym, co zrobiłam, ale bardziej nad wszystkim, co z tego wynikło, bo Ruggieri głowę położył tu może. Błagam was przeto, przebaczcie mi i pozwólcie mi Ruggiera ratować.

Lekarz, chociaż rozgniewany, nie mógł się wstrzymać od śmiechu i rzekł żartobliwie:

— Jeśliś komu na złość uczyniła, to chyba samej sobie, bowiem miast<sup>154</sup> dzielnego towarzysza, który by ci dobrze przetrząsł futro, miałas w łożu jednego z braci śpiących. Idź teraz i ratuj swego miłośnika od postronka, a na przyszłość nie waz się go do domu sprowadzać, bowiem rozprawię się wówczas z tobą za wszystkie twoje sprawki.

Służka rada, że pierwszy wybieg tak jej się udał, pobiegła, nie mieszkając<sup>155</sup>, do więzienia i tyle na strażniku wymogła, że pozwolił się jej z Ruggierim obaczyć. Wyjaśniwszy pokrótce Ruggierowi, co sędziemu powiedzieć winien, aby się ocalić, sama co rychlej do sędziego pośpieszyła. Ów, obaczywszy świeżą i piękną dziewczynę, dał poznać, że chciałby bliżej jej przymioty poznać, czemu młódka nie sprzeciwiła się wcale dla dobra sprawy. Gdy się to przedwstępne badanie skończyło, rzekła:

— Uwięziliście, panie, Ruggiera d'Ajeroli za kradzież, popełniając przez to wielką niesprawiedliwość.

Za czym opowiedziała mu całą historię od początku do końca, a więc, jak swego miłośnika do domu doktora wwiiodła, jak przez nieświadomość dała mu napoju na sen i jak, za umarłego go poczytując, w skrzyni go ukryła. Powtórzyła także rozmowę stolarza z właścicielem skrzyni, z której dowiedziała się, jakim sposobem Ruggieri do domu lichwiarzy się dostał.

Sędzia pojął od razu, że nietrudno będzie dojść, azali<sup>156</sup> jej słowa są prawdą rzetelną. Naprzód wybadał lekarza, czy sprawa z napojem w samej rzeczy tak się miała, później, przyzwawszy stolarza, właściciela skrzyni i lichwiarzy, po długich dochodzeniach uznał, że skrzynia przez lichwiarzy ukradziona i w nocy do ich domu przeniesiona została. Wreszcie posłał po Ruggiera i zapytał go, gdzie ostatni wieczór spędził? Ruggieri odparł, że nie wie o tym i że to tylko sobie przypomina, iż przybył do służki doktora Mazzeo w zamiarze spędzenia z nią nocy; potem, gdy mu się pić zachciało, napił się wody; co się dalej stało, nie wie, krom<sup>157</sup> tego, że ocknął się w skrzyni w domu lichwiarzy.

Sędzia, słów Ruggiera wysłuchawszy, mało się nie rozpukł ze śmiechu, i kazał kilkakrotnie zeznania powtarzać, zarówno jemu, jak służce, stolarzowi i lichwiarzom. Po

<sup>150</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>szczególowie — dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>nie mieszkając (daw.) — nie zwlekając, nie tracąc czasu. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>k'temu (daw.) — do tego. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>miast (daw.) — tu: zamiast. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>nie mieszkając (daw.) — nie zwlekając, nie tracąc czasu. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>azali (daw.) — czy, czy też. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

czym wypuścił Ruggiera z więzienia, uznawszy go za niewinnego, a lichwiarzy za kradzież skrzyni skazał na zapłacenie dziesięciu uncyj złota. Nie trza mówić, jak Ruggieri i jego dama cieszyli się z takiego obrotu sprawy, śmiejąc się pospołu z tak miłą im służką, która radziła pchnąć nożem ciało młodzieńca. Kochankowie żyli jeszcze wiele lat, ciesząc się coraz doskonalszym szczęściem swojej miłości. Pragnąłbym dla siebie podobnego szczęścia, pod tą jednak kondycją<sup>158</sup>, że w skrzyni by mnie nie zamkniono”.

Jeżeli poprzednie opowieści tego dnia serca dam smutkiem napelniły, to opowieść Dionea taki śmiech w nich wzbudziła, że o wszystkich smutkach zapomniały.

Król, widząc, że słońce ku zachodowi kłonić się poczyna, zapowiadając kres jego rządów, jął<sup>159</sup> krotochwilnymi<sup>160</sup> słowy przeproszać damy za wybranie tak smutnej do opowieści materii, nieszczęść kochanków dotyczącej. Po czym podniósł się, zdjął z głowy wawrzynowy wieniec i wśród powszechnego oczekiwania dam starających się odgadnąć, kogo królową uczyni, włożył go na złotowłosą głowę Fiammetty z tymi słowami:

— Tobie ten wieniec oddaję, wiem bowiem, że żadna z naszych towarzyszek nie potrafi lepiej od ciebie jutro nas rozweselić i rozproszyć smutku, który dzisiaj w sercach naszych zapanował.

Długi, falisty, jasny włos Fiammetty spływał wdzięcznie na jej białą, aksamitną szyję, a lica jej krągłe jaśniały krasą białych lilij i purpurowych róż. Oczy jej błyszcząły jak żrenice sokoła, a wargi maleńkich ust podobne były do rubinów. Wziąwszy wieniec z rąk Filostrata, rzekła z uśmiechem:

— Zgoda, Filostracie! Z chęcią z rąk twoich koronę tę przyjmuję; abyś zaś lepiej zdał sobie sprawę z tego, coś uczynił, chcę i rozkazuję, aby każdy przygotował na jutro opowieść o szczęśliwym końcu różnych przeciwieństw, którym zakochani podlegali.

Materia ta wszystkim do gustu przypadła. Po czym nowa królowa, przywoławszy marszałka i omówiwszy z nim sprawy niecierpiące zwłoki, dała całemu towarzystwu swobodę aż do czasu wieczery. Rozeszli się więc wszyscy, z miejsc powstawszy, jak zwykle, jedni udali się do sadu, którego pięknościami nie można się było łatwo przesyć, drudzy poszli drogą ku młynom, które warczały opodal, inni wreszcie tu i owdzie różnych przyjemności szukali. Gdy czas wieczery nadszedł, zebrali się jak zwykle koło fontanny. Po wieczery, zgodnie z obyczajem, pod przewodnictwem Filomeny rozpoczęli śpiewy i tańce. W czasie gdy Filomena wdzięcznie płaśała, królowa rzekła do Filostrata:

— Nie chcąc odróżniać się czymkolwiek od moich poprzedników, za ich przykładem rozkazuję, aby jakaś pieśń odśpiewana została. Ponieważ zaś przekonana jestem, że twoje pieśni do opowieści twych podobne być muszą, wzywam cię tedy do odśpiewania czegoś, w czym upodobanie znajdujesz, by smutek już nam nie osnuwał mrokiem dni pozostających.

Filostrato, nie wzdragając się wcale, taką pieśń zaśpiewał:

Dla jakich przyczyn biedne serce moje  
Wieczystą skargą na miłość wybucha,  
Chcę opowiedzieć. Niech mnie każdy słucha!

Gdy po raz pierwszy spłynęła w mą duszę  
Miłość, dla której dziś znoszę katusze  
I lzy goryczy wylewam bez końca,  
Jaśniejszą była mi od gwiazd i słońca  
I tak radosną, że jej chęciom gwoli<sup>161</sup>  
Do najstraszniejszych byłbym gotów kaźni!  
Lecz wnet poznałem błąd mej wyobraźni:  
To była złuda, która wabi, drażni,  
Na to, by stracić w odmęty niedoli.

<sup>158</sup>kondycja (daw.) — warunek. [przypis edytorski]

<sup>159</sup>jął (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>krotochwilny (daw.) — żartobliwy. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>gwoli (daw.) — dla, z powodu; w celu. [przypis edytorski]

Tak... Opuściła mnie okrutnie ona,  
Choć rajem dla mnie były jej ramiona.  
Na głuchą pustkę otwarła mi oczy,  
Gdym już cel pragnień miał osiąść uroczy.  
Gdym obraz marzeń widział niedaleki,  
Nagle odeszła ode mnie na wieki!  
Na próżno serce moje krwią dziś broczy,  
Inne już w piersiach jej tleje kochanie.  
A mnie zostały: rozpacz i wygnanie!

Więc zrozpaczony, smutny i sierocy,  
Rzewnymi skargi żalę się wśród nocy,  
Wieczną męczarnią trawię się i ginę,  
I klnę, niestety, ten dzień i godzinę,  
W której ujrzałem jej wdzięki zwodnicze  
I blask dokoła siejące oblicze,  
Najpowabniejszą zguby mej przyczynę!  
Zbyszy się wiary i nadziei słońca,  
Klnie ją ma dusza, od boleści mrąca!

Że już na ziemi jestem jak przechodzień,  
Wie Bóg, co modłów moich słucha co dzień;  
Niechaj śmierć przyjdzie i litośnym razem  
Życie i boleść uciszy zarazem!  
Z uśmiechem dusza będzie świat żegnała!  
Konając składać będę za to dzięki,  
Gdziekolwiek bowiem dusza pójdzie z ciała,  
Z uśmiechem szczęścia będzie świat żegnała.

Więc kiedy tylko śmierć mi jedna płuży<sup>162</sup>  
I kiedy wytrwać już nie mogę dłużej,  
O ześlij mi ją, Amorze okrutny!  
Niechaj wśród nocy jęk i głos mój smutny  
Kochankom szczęsnej chwili nie zamąca,  
Niech się mą śmiercią cieszy triumfująca  
Ona, dla której tak byłeś rozrzutny,  
Że aż dwa serca zapaliłeś dla niej,  
Z których tu jedno krwawi się i rani!

O pieśni moja, pieśni w łzach skąpana,  
Już niepowtórna, nienaśladowana,  
Której żalości nikt udać nie zdoła.  
Leć wołać śmierci cichego anioła!  
Powiedz mu, jak mi ciężkie życia brzemie,  
Niech miłosiernie spłynie na tę ziemię,  
Wysłucha głosu, co błagalnie woła.  
I na twe prośby tkliwszy niż na moje,  
W krainę ciszy weźmie nas oboje.  
Dla jakich przyczyn biedne serce moje  
Wieczystą skargą na miłość wybucha,  
Zrozumie każdy, kto mnie dziś wysłucha!

Słowa tej pieśni ukazały, jaki jest stan duszy Filostrata, a także wyjaśniły stanu tego przyczyny. Być może, iż więcej jeszcze powiedziałby wygląd jednej z pań płasających, gdyby

<sup>162</sup>płużyć (daw.) — działać na korzyść. [przypis edytorski]

mroki nocy, która już zapadła, nie skryły rumieńca, jaki wystąpił na jej lica. Po tej pieśni jeszcze wiele innych odśpiewano, aż wreszcie, gdy stosowna pora na spoczynek nastąpiła, wszyscy na rozkaz królowej po swoich komnatach się rozeszli.

*Kończy się czwarty dzień Dekameronu i zaczyna piąty, w którym pod przewodem Fiammetty mówi się o szczęściu, jakie przytrafiło się niektórym kochankom po przygodach ciężkich i żalonych.*

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dekameron-dzien-czwarty>

Tekst opracowany na podstawie: Giovanni Boccaccio, Dekameron, tłum. Edward Boyé, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1975.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Aleksandrę Sekułę. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Paulina Oltusek, Wojciech Kottwica.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).